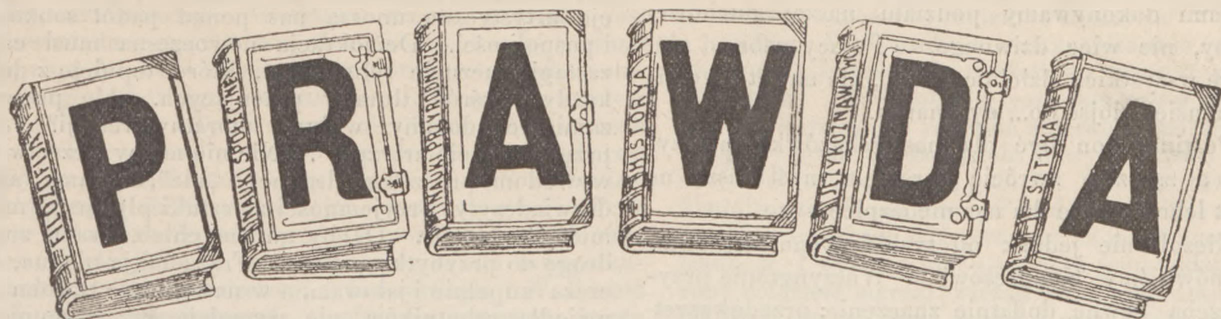
Nr. 23 (1533). Warszawa, 4 kwietnia 1910 r. **Rok XXX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kongres w Waszyngtonie.

Na wolnej ziemi Stanów Zjednoczonych, jedynej może, na której narody żyją w zgodzie obok siebie, dążąc solidarnie do pomyślności i potęgi swej przybranej ojczyzny, znalazło się miejsce i na pomniki bohaterów polskich, i na nasz Kongres narodowy i na urzędowe uznanie naszego istnienia, jako narodu, czego nam w Europie nieraz odmawiają. Dnia 11 maja r. b. w Waszyngtonie odsłonięto pomniki Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego. Na uroczystości ich odsłonięcia przemawiali prezydent rzeczypospolitej Taft i sekretarz wojny Dickinson, podnosząc zasługi bohaterów polskich, którzy przyczynili się również do zdobycia przez Amerykę niepodległości „tego koniecznego, według wyrażenia Tafta, warunku świetnego rozwoju jej sił i zasobów".

Kongres narodowy polski, króry się odbył jednocześnie z odsłonięciem pomników, według programu omówić miał sprawy narodowe we wszystkich kierunkach, stworzyć pewne, ogólne dla wszystkich polaków dyrektywy.

W chwili kiedy piszemy te słowa, szczegóły z Kongresu nie są jeszcze znane. Wiadomo wszakże, że do Waszyngtonu z ziem polskich nieliczne udały się jednostki, że znaczna przewaga liczebna była po stronie Polaków amerykańskich, że wreszcie dominującym tonem Kongresu był... dysonans.

Od niego się zaczęło i na nim skończyło.

Przedewszystkim od udziału w Kongresie usunęły się żywioły klerykalne, z powodu wyłączenia z programu spraw religijno-wyznaniowych.

Z dwuch istniejących w Ameryce związków polskich, jeden tylko organizował Kongres.

Rozłam ten na emigracji jest bardzo charakterystyczny i pod tym względem Polacy amerykańscy podobni są do swych braci w ojczyźnie. Na całej powierzchni ziem polskich, wszędzie toczy się głucha walka z supremacją kleru, z jego coraz to bardziej wzrastającą zachłannością.

Okazuje się, że w Stanach Zjednoczonych, tak samo, jak i u nas, istnieją dwie sprzeczne dążności: z jednej strony wysunięcia spraw religijno-wyznaniowych na czoło spraw narodowych, z drugiej zaś usunięcia ich na właściwe stanowisko, sprawy prywatnej, sprawy sumienia jednostki.

Jak dalece walka tych dwuch kierunków jest nieubłaganą, wypadek amerykański świadczy dowodnie, skoro dwuch organizacji polskich na obczyźnie nawet myśl, wspólnego przyjęcia rodaków z kraju, wspólnych z nimi obrad, połączyć nie mogła. Ze względu na sam Kongres może było to i lepiej; gdyby bowiem reprezentowane na nim były dwa tak sprzeczne kierunki, prawdopobnie sprzeczność ta uwydatniałaby się ciągle w toku obrad Kongresu.

Usunięcie się wszakże związku klerykalnego nie było zdolne stworzyć zupełnej harmonji.

Nowy dysonans wywołali mówcy z Europy, określając program polityczny polski przyjęty z entuzjazmem przez Polaków amerykańskich, a zwalczany przez wielu Polaków z Polski. Dysonans ten odbił się już echem na łamach niektórych organów prasy polsko-europejskiej, które zwracają się do naszych braci z za oceanu z prośbą o niedawanie nam rad, co, my tutaj, w Polsce, robić powinniśmy i jakiej trzymać się polityki.

Różnica poglądów na nasze postulaty polityczne na Kongresie amerykańskim wystąpiła jaskrawo, w formie wszakże mniej wyraźnej, ukazuje się ona stale. I nie ma potrzeby przenosić się za ocean, aby

tę różnicę spostrzec. Zwracaliśmy niedawno w *Prawdzie* uwagę na rozłam ideowy, kulturalny w trzech dzielnicach Polski, rozłam, którym niestety zbyt mało się zajmujemy, a który stale się pogłębia.

Sami dokonywamy podziału naszej duchowej ojczyzny, nic więc dziwnego, że Polacy zebrani nietylko ze wszystkich dzielnic Polski, ale nawet i z emigracji musieli dojsć do... dysonansu.

Powinien on być dla nas wskazówką na przyszłość, a zarazem zwrócić nareszcie myśl naszą na na zbyt lekceważone dla nas niebezpieczstwo.

Niezależnie jednak od tych dysonansów, o których mówiliśmy Kongresowi w Waszyngtonie przyznać trzeba pewne dodatnie znaczenie: przedewszystkim, jako środka podtrzymania polskości na emigracji, obrony jej przed zamerykanizowaniem Polaków na półkuli zachodniej, z drugiej zaś strony fakt uczczenia bohaterów Polski i udziału w Kongresie narodowym naczelnika wielkiego państwa, podnosi naszą świadomoś narodową i usprawiedliwia niejako słowa, wypowiedziane podobno przez Tafta:

— Kościuszko był wielkim wodzem, ale złym prorokiem...

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Gabinety jeśli nie czerwonej, tedy w każdym razie różowej frazeologji wchodzą w modę!

Georges Lloyd, Briand, a nadewszystko Luzzatti.

Lloyd najmniej rozprawia, a bodaj krząta się najwięcej, Luzzatti... ten gada bez końca, i zdaje się pozostawi po sobie wiele dymu, ale ani jednego porządnego wystrzału. Z góry można się było tego spodziewać: kto prawi o reformach, a przecież nie rozwiązał izby, w której większość skłania się ku Giolitti'ego, ten zbierze jedynie to co posiał. Frazes posłuży jeno ku temu, ażeby tą pozłotą pokryć nicość wewnętrzną osób, które zrządzeniem kaprysu parlamentarnego znalazły się u steru rządu. Credaro, radykalista, któremu dostała się teka ministra oświaty, w wyznaniu swoim na otwarciu wystawy artystycznej w Wenecji wysunął na przód lud pracujący. „Tłumy pracujące znajdują się poza obrębem tej sali i uważnie przysłuchują się nam, pragnęliby iść pospołu z nami, skosztować rozkoszy artystycznych. I my także dajmy posłuch ich żądaniom: sztuka winna, jak w Heladzie starożytnej, przyozdobić swoją obecnością świątynię ludu... Emocje artystyczne unoszą nas ponad padół sobkostwa i pospolitości. Demokracja nowoczesna musi czymś zastąpić uczucie religijności, które topnieje z dniem każdym wśród tłumów pracujących. Ale przez co zamienić zdołamy wpływ moralny religji? Jeno przez poczucie artyzmu". Nic nie mamy przeciw tym wywodom, prócz tego drobnego „ale", iż tłumy, ażeby doświadczyły przyjemności ze sztuki płynącej, muszą mieć kęs chleba. Dajmy im ten chleb, a same znajdą drogę do przybytku piękna. Frazeologja piękna, lecz czcza zupełnie i jałowa..., a w następstwie swoim nie uwiodła robotników, ale wywołała wrzask pomiędzy wstecznikami. Luzzatti był zręczniejszy: w mowie swojej programowej wygłosił tyle dobrych, ale jednocześnie drobnych rzeczy, tyle kurzu i pyłu wzniecił, iż cała izba, od lewicy do prawicy, zgodziła się z nim, i dopiero gdy mówcy stronnictw najrozmaitszych wyrazili swoją solidarność z przemówieniem premjera, partje zrozumiały, że stał się — skandal. Niepodobna było cofnąć powiedzianego, pozostało tym i owym oświadczyć iż nie pójdą z gabinetem, ponieważ idą z nim ich przeciwnicy... Ale bodaj do takiego frazesu należy teraźniejszość i przyszłość najbliższa. Jedno z czasopism włoskich może słusznie powiada: „Kraj sarka. Zdaje się, iż nadeszła chwila rządów panów od radykalizmu. Czy ktoś potrafi zręczniej karmić tłumy zamiast mięsa swędem? Kto zdoła z taką zręcznością rozdzielać drobne reformy na porcje jeszcze drobniejsze, rozciągać je na całe lata, a mikroskopijne ułomki demokratyzmu i śmieszne dozy antyklerykalizmu przyprawiać obfitym sosem krasomówstwa parlamentarnego" (Devenire Sociale).

Luzzatti nie sprawił nikomu niespodzianki. Natomiast sejm pruski stanął w obliczu łamigłówki.

Przystąpił do „rozważania" projektu reformy wyborczej, upstrzonego poprawkami, których dokonała Izba panów. Kanclerz niemiecki i zarazem prezes gabinetu, Bethmann-Hollweg, pierwszy zabrał głos, oświadczając, iż rząd nie zmienił swego stanowiska, a gdy w dalszym toku rozpraw zaczęły przechodzić różne poprawki, zgłoszone przez prawicę, ultramieszczańskich narodowców „liberalnych" i centrum, oznajmił, iż rząd pruski nie przykłada wagi do dalszej dyskusji nad tą sprawą, ponieważ nie spodziewa się

---

28)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Dokończenie).

Jak mogłam? Teraz dziecko moje, mój syn, który zasnął pod mym pocałunkiem wzywałby mnie, może wzywa już... Oszukałam go! Czyż nie powinna byłam rozbudzić go zupełnie, powiedzieć mu, że nigdy już nie wrócę, że nie wiem, kiedy oddadzą mi go?

Może teraz przy łóżeczku był mąż mój i kłamał mu, że wrócę niedługo, a dziecko wierzyło mu lub badało go z nieufnością... Co zrobi jutro i potym? Od dziś całe moje życie będzie może pełnym tych pytań bez odpowiedzi...

Jak mogłam? Och, nie byłam bohaterką! Byłam biedną istotą, od której ręka chirurga odcina inną istotę, by zapobiedz śmierci obojga.

Jak długo trwała straszna podróż?

Na każdej stacji osaczało mnie pragnienie wyjścia, zaczekania na pociąg, który zawiózłby mnie z powrotem; potym, gdy pociąg rozpoczynał znowu bieg swój, jak błyskawica przebiegała mózg mój myśl samobójstwa... taka łatwa śmierć tu, z tych drzwiczek — natychmiastowa...

Lecz gdym przyjechała, ta sama wola, prawie obca mi, silniejsza ode mnie opanowała mnie smutna lecz stanowcza; wśród dymu i tłumu wydostałam się ze stacji; jak zagubiony atom, posuwałam się naprzód przez gwarne ulice, na których słońce zwalczało mgłę...

XXII.

Wiele czasu upłynęło od tej pory. Minął już rok. Nie wróciłam tam. Nie widziałam więcej mego dziecka. Przeczucie nie omyliło mnie.

Ile miesięcy walczyłam, łudząc się, że je odzyskam.

Pierwsze dni, pod milczącą i troskliwą opieką mej siostry, były mi wypoczynkiem prawie; potym

osiągnąć porozumienia. Zrozumiano, iż rząd cofa projekt, i dlatego zamknięto rozprawy. Chodziło o paragraf szósty projektu, zawierający przepisy o podziale okręgów wyborczych. Tak wygląda fakt. A wnioski? Czy może rząd pruski pojął, iż projekt jest niedostateczy? Wątpliwa rzecz. A może jest przeświadczony, iż w szczodrobliwości swojej posunął się zbyt daleko. Taką postawę przybrały organy sławetnego wielkiego kapitalizmu. „Wszyscy, którym dobro państwa leży na sercu, nie dadzą się namówić do zmiany ustawy w duchu demokratycznym. Teraz, gdy projekt cofnięto, należy podwoić starań, ażeby położyć tamę dalszym zakusom rewolucyjnym!" Projekt był zbyt—demokratyczny i nawet zalatywał odorek rewolucji... To także frazeologja, ale innego kalibru niż słówka czerwone Luzzattiego. W liczbie wniosków, wyciąganych z cofnięcia projektu, krąży także gadka, iż stanowisko Bethmana-Hollwega jest zachwiane. Może odejdzie, — w każdym razie nie zrobi się od tego dziura w niebie, ani hohenzollernszczyzna nie nabierze frazeologji czerwonej. Jeszcze jeden obrazek z życia czcigodnego sejmu pruskiego. Świeżo rozprawiano o prawie co do kosztów sądowych. Poseł Seyda zażądał wykreślenia ustępu, opiewającego iż koszta sądowe wzrastają o jedną czwartą, jeżeli która ze stron używa języka obcego. Rzecz jest wymierzona między innymi przeciw ludności polskiej. Ale na to minister sprawiedliwości mądrze a dokumentalnie udowodnił, iż posługiwanie się w rozprawie sądowej obcym językiem pociąga potrzebę tłumacza przysięgłego, a to podnosi koszta. Tyle co do argumentu rzeczowego. A na zakończenie nieco morałów: językiem urzędowym w sądzie jest język niemiecki, i każdy tam powinien mówić po niemiecku. Sejm naturalnie podzielił to przekonanie i odrzucił wniosek Seydy, zagrażający całości państwa hohenzolernskiego.

Nieco sensacji na zakończenie.

Hiszpanja jest krajem ciemnoty, fanatycznych zakonników i w końcu fanatyków „czynu" dziecinnego, egzaltowanego. Ruch ludowy aż nazbyt często miota się w odruchu konwulsyjnym anarchizmu, bo nie zawsze ma możność podążać drogą jawnej organizacji mas..., a z ponad tłumów wydobywają się obłąkańcy, którym się zdaje iż bomba rozwiąże wszystkie złożone zagadnienia ustroju współczesnego. I świeżo u stóp pomnika w Madrycie wybuchła bomba. Pomnik ten wzniesiono na cześć osob, które padły podczas wybuchu innej bomby, w dniu ślubu Alfonsa XII. Wybuch był przypadkowy, pono bomba była znów przeznaczona dla Alfonsa, sprawca w ucieczce wystrzałem odebrał sobie życie. Pożytek odniosła policja: dokonała na prawo i na lewo moc uwięzień i zapełniła podejrzanymi — a podejrzanym będzie każdy, kto krząta się nad podniesieniem poziomu ludu—swoje nie zbyt zdrowe i przyjemne sanatorja.

Jerzy V Filatelista wciąż pozostaje wielkością nieznaną. Przebąkują o wielkim przezeń zamiłowaniu nauki. Niewątpliwie, jest skrzętnym kolekcjonistą, przynajmniej w zakresie zbierania marek pocztowych wykazał bardzo wiele dobrych chęci i sprawności. Od lat 14 piastuje godność prezesa towarzystwa filatelistów w Londynie. Przed laty w licytacji pobił współzawodników, ofiarowawszy za jakąś markę 36,250 franków. I właśnie pierwszy czyn jego będzie poświęcony reformie marek: zarząd poczt angielskich zamierza druk nowej serji marek, wzorowany na okazach najartystyczniejszych...

Asymilacja żydów i jej perspektywy.

„Po raz tysiączny ustami całego świata cywilizowanego powtarzam, że kultura współczesna nie może znieść śród siebie takiego typu" powiada w jednym ze swoich artykułów, kwestji żydowskiej poświęconych, szczery i zasłużony na tym polu publicysta, p. S. Auerbach. Słowa te trafnie malują nastrój, panujący obecnie w umysłowości ludzi, interesujących się tą kulą u nóg polskiego życia kulturalnego, tą wiecznie „rozwiązywaną" a zawsze odnowa zawiązywującą się kwestją żydowską.

Typ dawnego żyda jest anachronizmem, zabytkiem przeszłości zamierzchłej, zmorą i zaprzeczeniem europeizmu, typ ten musi zniknąć jako odrębna wartość kulturalna, stopić się w ogniu współczesnej kultury, albo też zginąć naprawdę — kulturalnie zwyrodnieć.

Wszyscy to powtarzamy głosem mniej lub więcej pewnym, kładąc specjalny nacisk na to słowo „musi". Czujemy bowiem wszyscy, że nie należy się zrażać smutnym bilansem dawnej asymilacji i jej rezultatami, bardzo niestety nikłymi w porównaniu z tymi, jakich od niej oczekiwano, z nadziejami, jakie do tego ruchu przywiązywano. Czujemy, że rozpuszczenie się

---

płynęły tygodnie, w których następowała coraz gwałtowniejsza zamiana listów między mną a mym mężem, między nim a mym ojcem, wreszcie między naszymi adwokatami. Coraz widoczniejszym było jego zdumienie z powodu mej stanowczości; łudził się, że wrócę: czyż nie miał syna jako zakładnika?

Dziecko za pośrednictwem służącej przesyłało mi kartki, w których jego niepewne paluszki kreśliły słowa miłości i niepokoju... „Chciałbym uciec mamo, lecz jak to uczynić? Tu mówią mi złe rzeczy o Tobie... Ja kocham cię tak bardzo, nie zapomnę cię nawet za sto lat. Lecz Ty co robisz? Czy nie możesz przysłać po mnie?"

W małym pokoiku, który chwilowo zamieszkiwałam u siostry i dokąd przybywały te wylewy małego zbolałego serduszka, nie odczuwałam już biegu godzin; w nocy, wciskając głowę i ręce w poduszki, zduszałam dzikie jęki... Wzywałam dziecko po imieniu, mówiłam do niego, mówiłam... Potym zrywałam się z pościeli i zdawało mi się, że jestem zdecydowaną wyjechać, wrócić do niego... Więc cóż, że pozwolę znowu upadlać się, kopać, znieważać? Lecz będę roskoszować się znowu pieszczotliwymi spojrzeniami, drżącymi uściskami mego dziecka!

Co zatrzymywało mnie z nieubłaganą siłą? Głos wewnętrzny, nie mój prawie, mówił mi, że krok, który uczyniłam, jest nieodwołalny, i że już nie mogę kłamać sama sobie, że umarłabym ze wstydu i wstrętu, gdybym nie zdołała znieść tego cierpienia, gdybym raczej nie wolała umrzeć. Och, ten straszny rozkaz wewnętrzny!

Przez miesiące, miesiące... Byłam przygotowana na śmierć, jak chory, który wie, że choroba jego jest nieuleczalną.

Coraz bardziej przekonywałam się, że nie uzyskam nic od męża, że zemsta jego będzie nieubłaganą; po groźbach słał mi szyderstwa; wiedział, że z powodu braku przyczyn prawnych nie mogę rozpocząć starań o separację. Ojciec, znużony nie pośredniczył już, zresztą od pierwszej chwili odebrał mi wszelką nadzieję.

Mąż mój nie dał mi pozwolenia na odebranie spadku po wuju. Niechaj zabiorą sobie pieniądze, lecz niech mi dadzą dziecko choć na część roku! W końcu i adwokat zaniechał wszelkich starań.

Ja pozostawałam własnością tego człowieka i powinnam była czuć się szczęśliwą, że przemocą nie ka-

żydów w morzu polskości jest koniecznością żelazną, nieuniknioną, o wiele mocniejszą od wszystkich przeszkód, ten proces tamujących, i choć nieraz rzeczywistość jaskrawo naszym twierdzeniom zaprzecza choć obok polszczącego się żydowstwa widzimy aroganckie i dufne w swe siły „litwactwo", jednakże nie tracimy wiary w skuteczność i możliwość asymilacji i powiadamy, że dawny typ żyda musi albo zwyrodnieć, albo zatracić swe cechy odrębne i tym samym w Europejczyka się przekształcić.

I nie jest to zaprzeczeniem naszych zasad, ani dowodem bankructwa naszych teorji asymilacyjnych, że ten, dość długo już trwający, proces zamiast ostatecznego pogrzebania kwestji żydowskiej w rezultacie ją tylko odrodził i ukazał nam w formie stokroć bardziej skomplikowanej, zaostrzonej i nieraz doprawdy rozpaczliwej. Złożyły się na to warunki przenajróżniejsze a w pierwszym rzędzie — rzecz przez pionierów naszej asymilacji wcale nie przewidziana — fakt wtargnięcia do dzielnicy kwestji żydowskiej, będącej początkowo ściśle wewnętrzną kwestją Polski, elementów wrogo dla naszego życia narodowego usposobionych, obcych nietylko nam, lecz i w znacznej mierze masom prawowiernego żydowstwa.

Masy litwaków (a raczej żydów rosyjskich), które do nas po wypędzeniu ich z Rosji przywędrowały, wniosły do życia społeczeństwa żydowskiego dwa prądy, które, zwłaszcza jeden z nich, napotykając na grunt częściowo już przygotowany, przeciwstawiały się robocie asymilacyjnej, równoważyły ją a nawet czasami przeważały. Jeden z nich, nietyle dla nas niebezpieczny, ile bezczelny i drażniący naszą godność narodową, to fakt pojawienia się na bruku warszawskim świeżo upieczonych i gorliwych patryjotów rosyjskich, do tyla już naszą bezsilnością ośmielonych, że uważają się nawet za zwolnionych z obowiązku wywieszania w naszym mieście szyldów polskich. Choć działalność tych dziwnych rusyfikatorów nie jest dla nas niebezpieczną, jednakże energiczne jej odparcie jest rzeczą konieczną i wierzymy mocno, że walka z tym wrogiem nie będzie trudną i przewlekłą. Zgoła inaczej ma się rzecz z prądem nacjonalistyczno-separatystycznym, wybujałym w masach naszego żydowstwa częściowo pod wpływem litwaków a częściowo dzięki całemu szeregowi warunków, tkwiących głęboko w strukturze społecznej samych żydów polskich. Byłoby to bowiem naiwnym zamykaniem oczu na niemiły nam fakt, gdybyśmy twierdzić chcieli, że ogarniający obecnie pewną część masy żydowskiej ruch nacjonalistyczny jest tylko jakimś kwiatem egzotycznym, polskiemu żydowstwu zupełnie obcym, a na nasz grunt jedynie rękami „litwackich" przybyszów przesadzonym. Przeciwnie, ziarna przez litwaków przyniesione znalazły już u nas grunt odpowiednio przygotowany, i to, co za ich sprawą wykwitnęło, rozwinęłoby się z pewnością i bez ich pomocy, choć może nie tak bujnie i szumnie. Żyjemy pozornie tylko w tych samych warunkach, co nasi poprzednicy na polu asymilacji. Gdy w dobie popowstaniowej z łona żydów polskich wyszedł szereg ludzi o gorących i szlachetnych sercach, co pierwsi akcję asymilacyjną zainicjonowali, mieli oni przed sobą materjał żydowski całkiem od naszego odmienny. Żydzi ówcześni byli masą bezwładną, zakutą w pancerz najrozmaitszych przesądów religijnych, nieruchliwą i bardzo słabo zróżnicowaną kastą wyznaniową. Treścią ich „narodowego" życia (jeżeli słowa tego użyć tu wypada) była religja, pojęta jako systemat pojęć i wierzeń zadawalniających ich potrzeby duchowe i służących ku obronie całości gromadnej przed rozkładem wewnętrznym i wtargnięciem z zewnątrz jakichkolwiekbądź świeższych i zdrowszych powiewów kultury europejskiej. Owczesny naród żydowski był w całości swej formacją średniowieczną, jaknajbardziej wrogą całemu nowoczesnemu życiu kulturalnemu, ślepą i głuchą na wszystkie jego powaby. Ktokolwiek z ówczesnych żydów się cywilizował, ten *eo ipso* zrywał z żydowstwem, asymilował się, albowiem droga do kultury europejskiej przez polskość jedynie prowadziła. Rozumieli to dobrze pionierzy ówczesnej asymilacji i, chcąc swój naród wyrwać z ciemnoty i ucywilizować, wskazywali mu na asymilację, polszczenie się, jako na jedyną, do tego celu prowadzącą drogę. Rozbudzili też dość jak na owe czasy ożywiony ruch oświatowy i tą drogą od stężałej w fanatyzmie religijnym masy żydowskiej odrywali co bardziej wartościowe jednostki i kulturze polskiej je oddawali.

Wierzyli oni, że ta droga t. j. szerzenie czysto polskiej oświaty jest jedyną, i doprawdy w owych czasach trudno było marzyć o innej. Zaś stosunkowe po-

---

zał mnie przyprowadzić do siebie. Takim było prawo.

Służąca została oddaloną i listy mego syna ustały. Dowiedziałam się, że przyjęto młodą nauczycielkę; napisałam do niej — nie odpowiedziała mi.

Nikt nie mógł pomódz mi.

Czemu śmierć spóźniała się tak bardzo?

Lub może byłam już martwą i może tylko wspomnienie po mnie żyło?

Czas biegł, uciekał. Mój syn nie był już pewnie takim, jakim widziałam go po raz ostatni: inne odcienie miał głos jego, inny blask oczy! Lecz nie umiałam wyobrazić go sobie innym. Moje macierzyństwo zamknęło się więc rzeczywiście na tym ostatnim pocałunku?

Gdy więcej miesięcy minęło, spostrzegałam ze zdumieniem, że żyję jeszcze, że nic rzeczywiście istotnego nie umarło we mnie, i że nieświadomie prawie tysiące zagadek niepokoiło mnie.

Wychodząc na ulice, przyglądałam się dzieciom, mogącym przypomnieć mi mego drogiego dalekiego synka; patrzałam na nie uporczywie, i często niektóre z nich spoglądały na mnie z odcieniem niepokoju w oczach. Żadne z tych małych uśmiechniętych dzieci nie potrzebowało mnie. Lecz czasem rano we mgle lub nad wieczorem, przesuwały się koło mnie niewyraźne drobne cienie i jakiś żałosny głosik zatrzymywał mnie.

Pieszczota moja rozjaśniała błyskiem chwilowej radości biedną twarzyczkę.

Gdzie spały, jak żyły? Poprzez troski mej nowej egzystencji myśl o tych dzieciach, o tych matkach błądzących po przedmieściach, niepokoiła mnie gorączkowo.

Pewnego dnia weszłam wraz z mą siostrą do apteki dla biednych chorych dzieci, utworzonej przez grupę pań. Ofiarowałam się jako nadzorczyni dwa lub trzy razy tygodniowo.

Jakież przerażenie ogarnęło mnie pierwszego dnia! Ciemnota, brud, głód, kary cielesne czyniły z tych biednych nieszczęśliwych dzieci tragicznych męczenników... Och, moje dziecko, piękne, zdrowe! Zdawało mi się, że nie zniosę widoku tego cierpienia, że nie zapomnę go nigdy.

Od chwili, w której znowu poczułam, że *inni* żyją i cierpią, postanowiłam żyć.

I znowu poczułam potrzebę wiary, nadziei dla wszystkich innych, jeśli nie dla siebie. I gdy odnalazłam w mej duszy, mimo uczynionego wysiłku, nienaruszoną wiarę w lepszą przyszłość ludzką, och, mój synu, wtedy mogłam jeszcze wylać łzy ulgi! I w pokoiku, który wynajęłam przy moich ukochanych, między lekcjami, które są mym jedynym środkiem utrzymania

wodzenie tego ruchu i poparcie, jakiego ze strony ówczesnego społeczeństwa polskiego doznawali, jeszcze bardziej ich w tym przekonaniu utwierdzały i pozwalały im się spodziewać rychłego urzeczywistnienia ich marzeń — szczerego spolszczenia się mas żydowskich. Dobrym i słusznym było ich rozumowanie, [1] lecz spotkał je los wszystkich tego rodzaju rozumowań, chcących nieskończenie różnorodną treść życia ująć w ramy jednego szematu myślowego.

Przepowiednie ich byłyby się sprawdziły, gdyby życie płynęło jednym tylko łożyskiem, tym właśnie, które mu tyoretycy wskazują, gdyby czynniki poboczne, niespodziewane i nieprzewidziane swoją nagłą interwencją nie skomplikowały tego procesu i jego naprzód już wytkniętej marszruty radykalnie nie zmieniły. Rozwój jednak mas żydowskich w innym poszedł kierunku. Okazało się bowiem, wbrew oczekiwaniom, że pierwszy nasz ruch asymilacyjny był tylko powierzchowną fermentacją; ogarniał on tylko bardzo nieliczne sfery, najbardziej za światłem kultury europejskiej stęsknione. Jądro zaś żydowstwa, owe gęste masy ludu miejskiego i małomiasteczkowego, całym tym ruchem wcale nie draśnięte, kostniały nadal w swoim faktycznym *Ghetto*. I nic w tym nie było dziwnego. Do krynicy polskości zaprowadzić jedynie je mogło pragnienie kultury europejskiej, tej zaś masy żydowskie, tworzące podówczas jednolity prawie pod względem społeczno-gospodarczym i kulturalnym organizm, wcale nie odczuwały. Tu właśnie była ukryta przyczyna względnej słabości ówczesnego ruchu asymilacyjnego. Kilkadziesiąt lat, które od owego czasu upłynęły, zmieniły do niepoznania konstelację warunków tamujących, lub sprzyjających rozwojowi ruchu asymilacyjnego. Jednym z czynników najbardziej istotnych było społeczno-gospodarcze przeobrażenie się żydowstwa.

Rozszczepiło się ono i zróżnicowało podobnie, jak społeczeństwo polskie, choć w stopniu o wiele słabszym. Jego warstwy bogatsze i rzutniejsze, zajmujące się dawniej wyłącznie handlem, wystąpiły na arenę szerszej produkcji krajowej i swoim wybitnym udziałem w procesie uprzemysłowienia Polski związały się tysiącem nierozerwalnych nici z jej życiem społecznym i kulturą. Przystosowanie się do typu życia europejskiego, panującego w Polsce było dla tych warstw koniecznością niechybną, której zrealizowanie zamożność i inne tego rodzaju warunki znacznie ułatwiały. I w rzeczy samej znaczny postęp asymilacji tych sfer jest rzeczą nie ulegającą żadnej wątpliwości. Smutniej natomiast ukształtowały się stosunki w łonie ludu żydowskiego. Ta sama ewolucja form społeczno-gospodarczych, która spowodowała niebywały dotychczas w dziejach żydów rozrost prądów odśrodkowych w klasach zamożniejszych, ta sama fala, która w przeciągu krótkiego czasu zrobiła tak znaczny wyłom w murach tej najkonserwatywniejszej chyba na świecie formacji narodowej, pociągnęła za sobą wręcz odmienne skutki, gdy tylko do głębin ludowych dotarła.

W przeciągu ostatniego dziesiątka lat byliśmy świadkami zjawisk wysoce na pierwszy rzut oka niezrozumiałych: równolegle z pogłębiającą się stale i rozszerzającą na wciąż nowe tereny asymilacją, wzrastał i potężniał ruch zgoła odmienny, o wyraźnych podstawach nacjonalistyczno-separatystycznych, tym bardziej niebezpieczny, że soki swe żywotne zdawał się czerpać z rozwijającej się i krzepnącej emancypacji mas ludowych. Znaleźli się nawet na poczekaniu „teoretycy", którzy z kilku niesprawdzonych pojęć ukuli sobie bardzo misterne teorje, ogłaszające krzykliwie całemu światu, jako że zmartwychwstał *naród* żydowski i blaskiem oryginalnej kultury ma zamiar nanowo zajaśnieć.

Głosy takie rozlegają się u nas bardzo często i nie raz, doprawdy, mącą świadomość spraw, tyczących się kwestji żydowskiej. Wykazanie ich bezzasadności jest potrzebą bardzo nagłą i pilną. Nawet w ramach artykułu dziennikarskiego, na ogół zbyt ciasnych dla rozważania tak zawiłej sprawy, można wyłożyć kilka punktów wytycznych, które nam odrazu wykażą, że mniemane odrodzenie kultury żydowskiej jest słomianym ogniem. Cały ten ruch, objektywnie i bez uprzedzeń rozpatrzony, przedstawia się właściwie, jako druga strona tego samego zjawiska, które sprowadziło tak szybkie i względnie skuteczne asymilowanie się zamożniejszych klas żydowskich.

U podstaw jego leżało pragnienie kultury no-

[1] Dowodem tego — dokonana w tym samym czasie i tą samą drogą asymilacja żydów w Zachodniej Europie.

---

a wizytą w szpitalu, siadałam przy stoliku, by powtarzać wezwania, rzucane społeczeństwu, już przez wielu innych, lecz które ja pisałam łzami i krwią. Krzyk mój musiał być strasznym, skoro pisma, które dawniej pobudzały mnie, teraz odpychają; lecz sprawiedliwość nie może być stłumioną dla tego, że płonie. Ja nie pragnę sławy: pragnę, by mnie wysłuchano. Z okna o wschodzie i zachodzie widzę kontury Alp na tle równych chmur i często dochodzi mnie monotonny śpiew orszaku pogrzebowego, kierującego się ku miastu umarłych. Patrząc w twarz jednocześnie życiu i śmierci, nie obawiam się ich, może kocham oboje.

W niebie i na ziemi ciągłe jest przejście.

Wszystko przeplata się, miesza; jedna tylko rzecz jaśnieje ponad wszystkim; mój spokój wewnętrzny, moje stałe przekonanie, że jestem *w porządku*, że każdej chwili mogę bez wyrzutu zamknąć oczy na zawsze. W zgodzie sama z sobą.

Czy spodziewam się czego? Nie. Może jutro nowa racja mego istnienia zjawi się przedemną, może zobaczę życie pod nową postacią i doznam wrażenia odrodzenia się, uśmiechu nowego... lecz nie oczekuję niczego. Jutro mogę umrzeć... I ostatnim mym cierpieniem będzie napisanie tych kartek.

Dla niego!

Mój syn, mój syn! Jego ojciec sądzi pewnie, że jest szczęśliwym.

On bogaci się, da mu zabawki, książki, nauczycieli; otoczy go wygodami. zbytkiem. Mój syn zapomni o mnie, lub mnie znienawidzi.

Och, niechaj nienawidzi, lecz niech pamięta!

Wychowanym zostanie w czci dla prawa, tak pożytecznego silniejszemu; kochać będzie władzę, spokój i dobrobyt... Jak często wpatruję się w jego fotografję, na której dziecinne rysy to zdają mi się zapowiadać w oczach — mą boleść, to surowość jego ojca — w linji ust! Lecz jest moim. Jest moim i powinien do mnie być podobnym! Wyrwać go, przytulić, zamknąć w mej piersi!... I zniknąć samej, by stał się całkowicie *mną!*

Kiedyś będzie miał lat dwadzieścia. Czy uda się wówczas na poszukiwania swej matki? Lub może będzie miał już w sercu obraz innej kobiety? Nie poczuje wtedy, że z dali me ramiona wyciągają się ku niemu, że go wzywam, wzywam po imieniu?

Lub być może, ja już żyć nie będę... Nie będę mogła opowiedzieć mu historji mego życia, historji duszy mojej... ani powiedzieć mu, że tak długo czekałam na niego!

I dlatego skreśliłam te kartki. Słowa moje dobiegną go.

K O N I E C.

woczesnej, konieczność wykorzystania wszystkich jej zdobyczy dla zapewnienia sobie jakichkolwiekbądź szans w walce o byt, obecnie o wiele cięższej i bardziej skomplikowanej, niż za czasów dawniejszych. Przewrot społeczno-gospodarczy, nadwerężywszy nieco dawną jedność społecznego gmachu żydów, razem z klasami zamożniejszymi wyprowadził faktycznie z ghetta społecznego i masy ludowe, nadał im zlekka do europejskiej podobną strukturę klasową i związane z nią formy walki o byt, wymagające powierzchownego chociażby zaznajomienia się z życiem i kulturą europejską.

Jakież formy przybrać mógł ten również odśrodkowy ruch, obecnie już w łonie mas ludowych fermentujący? Istniałże organizacyjny szkielet kulturalny, z myślą o polszczeniu mas żydowskich przygotowany, któryby te, do europejskiej kultury garnące się masy, wziął w swoje posiadanie, cywilizował i z życiem europejskim po polsku je oswajał? Gdzie była cała sieć szkół elementarnych polskich, gdzie były inne organizacje oświatowe i kulturalno - towarzyskie, w których, wyzwalająca się z jarzma rabinizmu i dopiero się kształtująca psychika robotnika żydowskiego, mogłaby znaleźć, do jego poziomu zastosowaną, kulturę polską?

Tych wszystkich środków asymilacyjnych, na szeroką skalę zakrojonych, nie było, i z konieczności stosunkowa europeizacja żydowskich mas ludowych musiała się dokonać w ramach samego żydowstwa. W tym leży przyczyna nagłego rozkwitu prasy żargonowej, tym objaśnić się dają powstanie pewnej literatury żargonowej i próby podniesienia żargonu do godności języka literackiego. Rzecz prosta, że nikogo tu winić niepodobna. Społeczeństwo polskie, we własnym swym życiu skrępowane, nie miało możności czynnego współdziałania procesowi asymilacji mas, zaś asymilująca się inteligiencja żydowska miała przed sobą jeden tylko cel: jaknajprędzej zerwać z gniotącą przeszłością, jaknajrychlej wypalić, wytracić w swej duszy stygmat żydowstwa — piętno ciemnoty, zacofania, ghetta i niewoli. Tą żądzą poruszona, starała się inteligiencja żydowska co prędzej zapomnieć o masach wegietującego w fanatyzmie żydowstwa, wiązała się ściśle z dążeniami i ideałami społeczeństwa polskiego — na jego tylko niwie pracowała. Było względnie dużo „zasymilowanych", lecz wcale, lub bardzo niewielu „asymilatorów", t. j. ludzi czynnie pracujących nad spolszczeniem żydowstwa. Szybka i zbyt „skuteczna" asymilacja jednostkowa sprawiła, że, gdy wreszcie lud żydowski ze swego wielowiekowego snu się ocknął, znalazł on przed sobą drzwi do kultury polskiej zamknięte. W tym właśnie leży fatalizm kwestji żydowskiej, iż zjawiska, które w gienezie swojej były najwyższym i najczystszym wyrazem asymilacji, w skutkach swoich skazały się hamulcem jej rozpędu.

Czy jednak ta quasi europeizacja w ramach żydowstwa jest stanem trwałym i definitywnym?

Na to pytanie musimy odpowiedzieć przecząco Dwie są definicje, określające istotę obecnej zbiorowości żydowskiej: naród i grupa wyznaniowo-plemienna. Pierwsza z nich, z wielkim ferworem lecz z małą zazwyczaj wiedzą broniona przez wszystkie gatunki nacjonalistów żydowskich (socjalistycznych i nie socjalistycznych) opiera się na zasadniczym niezrozumieniu bronionego przez się pojęcia. Fakt odmienności bytowej całego typu żydowskiego i jego nadzwyczajnej oporności na wszelkie zewnętrzne wpływy destrukcyjne uważają oni za dostateczne, aby módz żydom nadać miano grupy *narodowej*. To jednak nie jest jeszcze dostateczną po temu kwalifikacją. By narodem być, trzeba posiadać żywą kulturę narodową, trzeba posiadać swego rodzaju warsztat duchowy, któryby nieskończenie bogatą i różnorodną treść wszechludzkiego życia przerabiał i przetapiał na wartości kulturalne, noszące na sobie piętno wspólnego pochodzenia, będące do siebie zbliżone w sposobie ujmowania i wartościowania świata i kultury. Kultury takiej nie mierzy się stopniem jej wartości aktualnej, lecz ukrytą w niej zdolnością do rozwoju. Zastosowując zaś ten probierz do „kultury" żydowskiej, spostrzegamy odrazu jej wewnętrzną niemoc twórczą. Wprawdzie istnieje obecnie coś w rodzaju *quasi*-europejskiej kultury żydowskiej (raczej, żargonowej), lecz jest ona zakrojona na bardzo wązką miarę i przystosowana do akulturalnych stosunków, panujących w masach ludu żydowskiego. Zaspakaja ona jego potrzeby kulturalne, lecz tylko o tyle, o ile potrzeby te pozostają na bardzo nizkim poziomie cywilizacyjnym.

Z chwilą, gdy jednostka wznosi się o kilka stopni wyżej na drabinie cywilizacji, musi ona zarzucić pseudo-europejski łachman kultury żargonowej i kulturalnie się asymilować t. j. przetwarzać wartości cywilizacji europejskiej środkami zapożyczonymi od polskiej (lub rosyjskiej) kultury narodowej. Jest to fakt tak powszechny, że nawet apostołowie nacjonalizmu żydowskiego, przekonywając się wzajemnie o królewskiej przyszłości, oczekującej żargon, czynią to najczęściej w języku polskim lub rosyjskim. Smutne to dla nich, lecz konieczne, gdyż żargon, dobry jako środek codziennego porozumiewania się mas, wreszcie po pewnym ogładzeniu, jako środek ich początkowego kształcenia, staje się absolutnie nieużytecznym, gdy tylko zajdzie potrzeba zastosowania go w dziedzinie wyższych pojęć i uczuć. Swej właściwej dziedziny żargon nigdy nie przekracza, a wszelkie naginanie go do wyższych potrzeb kulturalnych sprawia tylko jeszcze większe karykaturowanie tego i tak już zbyt karykaturalnego narzecza. Nie trzeba się wdawać w żadne dociekania filologiczne, aby stwierdzić, że żargon jest językiem bez żadnej przyszłości. Wartość bowiem języka mierzy się wartością kulturalną posługujących się nim ludzi, a pod tym względem żargon stał i zawsze stać będzie niżej wszelkiej krytyki.

Nacjonaliści żydowscy, mówiąc o istniejącej jakoby nowoczesnej kulturze żydowskiej, powołują się zazwyczaj na fakt pojawienia się w niedawnej przeszłości literatury żargonowej, opartej na motywach czysto świeckich i ludowych. Świadczy to, ich zdaniem, o istnieniu w psychice żydowskiej pewnych możliwości kulturalnie twórczych, które, gdy im możność rozwoju zostanie nadaną, przeobrażą się we współczesne wartości kulturalne, prezentujące się światu w specyficznej szacie żydowskiej psychy narodowej. Argumenty te były w naszej prasie dotychczas zbyt mało omawiane. Przedewszystkim dlatego, że literaturę żargonową znają u nas wyłącznie z jej nielicznych przekładów, te zaś już z tej racji, że nadawały się do tłomaczenia, nie charakteryzują dostatecznie właściwej istoty literatury żargonowej.

Prawie wszyscy pisarze żargonowi (z wyjątkiem może Szałoma Asza) są, właściwie mówiąc, tylko pogłosem starej, ginącej już w życiu psychiki żydowskiej. Nerwem ich twórczości nie jest stawanie się duszy nowoczesnego człowieka, nie z nowoczesnego życia pieniącego się potoku czerpią oni swą siłę i treść. Złożyły się na ich twórczość dwa zasadnicze motywy: satyra teraźniejszości natury raczej publicystcznej niż artystycznej (Szołom Ałajchem) i poezja przeszłości, cała tęskną mgłą jej wspomnień i reminiscencji owiana. Zarówno jedna jak i druga nie wychodzi nigdy po za wązki zakres specyficznie żydowskich motywów, interesujących i zrozumiałych tylko dlatego, kto zna à fond wewnętrzne, duchowe życie żydowskie, a zwłaszcza jego mistyczno-religijne przeżycia. Literatura ta jest formacją wykopaliskową, ujmującą to, co w życiu już zamarło i kształtowo stwardniało. Jest ona szkłem, poprzez które dojrzeć

można najtajniejsze sprężyny psychiki żydowskiej a nie tej psychiki żywym organem rozwijającym się, przekształcającym samego siebie zależnie od zmian, zachodzących w strukturze samego życia. Dynamizm w stosunku do literatury żydowskiej nie da się pomyśleć. Każdy bowiem krok naprzód — ku kulturze europejskiej jest dla niej ciosem śmiertelnym, zwiastunem i początkiem jej zaniku. Bardzo piękne nowele p. Pereca, prawdziwego poety dawnej psychiki żydowskiej, są najlepszym dowodem tej, że się tak wyrazimy, nieeuropejskości literatury żargonowej. Ze wszystkich pisarzy żargonowych jedynie p. Asz sięga wgłąb *współczesnej* psychiki żydów i jej strony ogólno-ludzkie a nie specyficznie żydowskie oświetla [2]). Lecz właśnie twórczości tego pisarza, w której najwięcej nut ogólno-cywilizacyjnych rozbrzmiewa, zaczyna być najwyraźniej za ciasno w ramach ekspresyjnych żargonu. Nurtujące ją zagadnienia szerszej natury duchowej domagają się bardziej kulturalnych form ekspresji artystycznej i to właśnie łamanie się treści z beznadziejną formą jest najoczywistszą tamą na drodze rozwojowej tego pisarza. Wszystko więc zdaje się za tym przemawiać, że literatura żargonowa jest zjawiskiem czasowym i przemijającym. Krytyczne zbadanie jego podstaw zasadniczych, dotychczas z powodów zresztą zrozumiałych bardzo zaniedbane, potwierdziło by nam jeszcze raz tę oczywistą prawdę, że wszelka europeizacja mas żydowskich, w ramach żydowstwa a specjalnie żargonu dokonana, jest formą przejściową, wprawdzie nieraz bardzo pożyteczną, z której jednak masy trzeba dźwigać wzwyż, ku bardziej świetlanym i piękniejszym formom kulturalnym przyszłości. Wyzwalając lud żydowski z jego zacofanych form kulturalnych, czynimy mu nierównie większą przysługę, niż jego opatentowani opiekunowie z pod znaków nacjonalistyczno-socjalistycznych. Proletarjat żydowski, ta mniemana ostoja narodzić się mającej lub już podobno istniejącej kultury żargonowej, musi się wyzwolić z powijaków żargonowych, znamieniem bez siły i wstecznictwa napiętnowanych, musi się kulturalnie zasymilować, jeżeli jest istotnie klasą zdobywczą i zdrową, w zorzę Jutra wpatrzoną. Albowiem żadna zbiorowość ludzi, faktycznie z nowożytnym życiem powiązana, nie może trwać w ramach organizacji kulturalnie wstecznej i do rozwoju absolutnie niezdolnej.

I śmiesznymi tylko wobec tego wydawać się mogą czynione postępowcom przez nacjonalistów żydowskich zarzuty nietolerancji i braku demokratyzmu, ukrywających się rzekomo w fakcie nieuznawania „kultury" żydowskiej. Z tym bałwochwalczym demokratyzmem, już apriori gloryfikującym wszystko to, co leży „u dołu", dopasowującym kulturę i jej kryterja do przypadkowych i akulturalnych stosunków, panujących w sferze mas żydowskich, postępowcy polscy doprawdy nic wspólnego nie mają. W stosunku do kwestji żydowskiej jedynym stanowiskiem, wzkazanem przez rozum i uczucie demokratyczne, jest walka z próbami rozszerzenia wpływów żargonu, dążącymi do utrwalenia i uprawnienia tego, co tylko za stan przejściowy i czasowy uznanym być może. Przed żydami bowiem stoi jedna tylko alternatywa: albo szczera asymilacja, życie w ramach kultury europejskiej, albo wegietacja, wyradzanie się w stęchłych zaułkach na inny kolor tylko przemalowanego ghetta duchowego.

Że życie wcale niedwuznacznie w pierwszym z tych kierunków się posuwa, dowodzi cały szereg ważnych procesów, zachodzących w łonie żydowstwa, a w pierwszym rzędzie ich ewolucja wyznaniowa, o której w następnym artykule pomówimy.

Anatol Mühlstein.

---

[2]) Tym się też tłumaczy, że p. Asz jest jedynym prawie pisarzem żargonowym, nadającym się do tłumaczeń na jezyki europejskie.

Listy z Galicji.

V.

Zjazdy stronnictw. Walka między ludowcami. Sprawa uniwersytetu rusińskiego. Popularyzacja wiedzy.

Niedawno odbyły się zjazdy stronnictwa prawicy narodowej i demokracji-narodowej.

Prawica narodowa, to dawni stańczycy krakowscy wraz z tymi konserwatystami z Galicji Wschodniej, którzy zgodzili się z nimi współdziałać. Żywioły konserwatywne tracą grunt w Galicji coraz bardziej; upadek ich ujawnia się nietylko w zmniejszeniu się liczby ich zwolenników, lecz także w zaniku inicjatywy. Dawniejsi stańczycy — cokolwiekby sądzić o ich polityce — odznaczali się niezawodnie pewną twórczością; pomysły ich oczywiście odpowiadały przeważnie interesom arystokratyczno-szlacheckim, były wsteczne, albo konserwatywne, jednakże ujawniały pewną inicjatywę.

Obecnie prawica narodowa nic nie chce, do niczego nie dąży, nie występuje z żadnymi projektami.

Na ostatnim zjeździe przyjęła właściwie tylko jedną ważną, w praktyce czysto negatywną uchwałę, aby reformę wyborczą do sejmu połączyć z krajową reformą administracyjną. Znaczy to żeby nie zmieniać ordynacji wyborczej teraz, póki stronnictwa nie dojdą do porozumienia w sprawie reformy administracyjnej.

Jeżeli od kilku lat sejm nie może się zdobyć na żaden nawet umiarkowany kompromis w sprawie reformy wyborczej, to tymbardziej nie zdobędzie się prędko aż na dwie ważne złączone ze sobą reformy.

Uchwała więc zjazdu prawicy narodowej oznacza w praktyce odłożenie na czas nieograniczony reformy wyborczej do sejmu.

Obecnie uwidacznia się z całą siłą błędna taktyka posła Stapińskiego, który odwlekaniem tej reformy przed dwoma laty, i przenoszeniem jej na rok 1910 pokazał tylko konserwatystom, że nie myśli o nią walczyć. Co teraz powie poseł Stapiński? Zapewne wygłosi w sejmie mowę bombastyczną i na tym poprzestanie. A reforma wyborcza napewno już nie będzie uchwalona w roku bieżącym.

Widzimy więc, że rezultat zjazdu stronnictwa prawicy narodowej jest bardzo ujemny...

Ten zanik inicjatywy u obecnych członków tego stronnictwa nie jest zjawiskiem przypadkowym, lecz ma przyczyny głębsze.

Dawni konserwatyści, zwłaszcza ich przywódcy, w młodości przynajmniej, nie zasklepiali swego umysłu, przeciwnie, mieli szerokie widnokręgi. Część ich brała udział w spiskach demokratycznych, wszyscy marzyli wówczas o wielkich przeobrażeniach politycznych, a niektórzy i o społecznych.

Umysł ich pracował usilnie w kierunku rozważania rozmaitych możliwych zmian na wielkim terenie — jeżeli już nie świata — to Europy.

Później, kiedy stali się konserwatystami, zachowali żywość umysłu, a nawet śmiałość, ujawniającą się w rozmaitych kierunkach.

Zupełnie w innych warunkach wyrosło następne pokolenie konserwatystów, które obecnie jest w sile wieku. Ludzie ci nigdy, nawet w młodości, nie mieli szerokich widnokręgów, od ławki szkolnej wpajano im, jako najwyższą mądrość, przekonanie, że wszelkie głębsze zmiany polityczne, a tymbardziej socjalne są niebezpieczne, że tylko małymi sprawami należy się zajmować, że kościół podaje rozwiązanie najzawilszych zagadnień bytu.

W takich warunkach wykształciło się pokolenie konserwatystów — zacofańców nie widzących nic ponad koniec swojego nosa, ludzi, których każda zmiana przeraża, dla których każda myśl świeża jest zwiastunem niebezpieczeństwa.

Ci „młodzi konserwatyści" w XX w., będąc profesorami uniwersytetu — w Krakowie, bali się wysłać delegata na uroczystość darwinowską do Anglji...

Narodowi demokraci mieli także swój zjazd, który był równie jałowy, jak tamten...

Pan Grabski sprowadził sobie kilkuset „chłopków" w malowniczych strojach, aby w ten sposób stwierdzić „wzrost" stronnictwa.

Kulminacyjnym punktem zjazdu było uchwalenie wotum nieufności rządowi krajowemu, który, wedle komentarza samego *Słowa Polskiego*, rozumieć należy w sensie dualistycznym. Innymi słowy wyrażono naganę namiestnikowi i marszałkowi.

Zarzuty sformułowane zostały w sposób bardzo ogólnikowy, główny nacisk położono na „forytowanie" Rusinów, zapomniano tylko dodać, w czym się ono ujawnia.

Nawet *Gazeta Narodowa*, organ podolaków, którzy tak często popierali i popierają demokrację narodową, wyraziła niezadowolenie z napaści na rządy krajowe, stwierdzając, że nie będzie mogła ich zachwiać, i że wszechpolacy są stronnictwem nie tyle silnym, ile krzykliwym i chełpliwym.

Organ hr. Pinińskiego dał do zrozumienia narodowej demokracji, że za dużo sobie pozwala, że zanadto gwałtownie sięga po władzę, i że jej w tej walce popierać nie będzie.

Mimo to p. Grabski jest najlepszej myśli, został wiceprezesem stronnictwa (prezesem jest p. J. G. Pawlikowski), i ma nadzieję, że demokracja narodowa wkrótce mocno stanie i w Zachodniej Galicji.

Charakterystyczną jest rzeczą, że p. Pawlikowski stwierdził zupełne bankructwo neosłowiańskiej polityki p. Dmowskiego...

Prezesowi Koła polskiego posłowi Głąbińskiemu zjazd narodowej demokracji zgotował owację.

P. Głąbiński dał dobrą radę członkom swego stronnictwa, żeby nikogo nie potępiali i złączyli swoje usiłowania z innymi dla dobra kraju.

Nie usłuchano tej rady i po wyjściu prezesa zaczęto miotać gromy na wszystkie strony.

Ta krzykliwa i wojownicza polityka p. Grabskiego jest tylko manewrem, mającym na celu zamaskowanie rozkładu stronnictwa.

W Rzeszowie i Krakowie odbyły się konferencje miejscowych grup stronnictwa ludowego. W Rzeszowie przewagę mieli opozycjoniści p. Stapińskiego, to też ostro krytykowali jego taktykę i żądali energicznej akcji za reformą wyborczą do sejmu, w granicach środków parlamentarnych.

W Krakowie natomiast obradowali zwolennicy p. Stapińskiego, którzy wyrazili mu wotum zaufania i wypowiedzieli się za jego taktyką. Żadnych stanowczych uchwał w sprawie reformy wyborczej nie powzięto.

Nie ulega wątpliwości, że pomoc okazana Bankowi Parcelacyjnemu ze strony rządu przez pożyczkę 2,000,000 na przeprowadzenie likwidacji — uzależni jeszcze bardziej p. Stapińskiego od rządu i konserwatystów. Przez to blok konserwatywno - ludowy wzmocni się.

W ten sposób konserwatyści, przez sprytną politykę namiestnika Bobrzyńskiego, pomimo liczebnej swojej słabości w parlamencie, pomimo usuwającego im się gruntu w kraju, za pomocą ludowców, mogą przedłużyć swe panowanie w kraju.

Narodowa-demokracja myślała, że atakując Bank Parcelacyjny, spowoduje zupełny upadek ludowców, tymczasem uzyskali oni wspomnianą pomoc dla tej instytucji i przez to złączyli się silniej z p. Bobrzyńskim i konserwatystami, powstrzymując przez to zapędy narodowej demokracji. Konserwatyści wyszli na tym najlepiej.

Obecnie prowadzą się w Wiedniu ważne narady w sprawie uniwersytetu lwowskiego.

Polacy chcą ustawowo zagwarantować polski charakter uniwersytetu lwowskiego; Rusini wtedy tylko na to się zgodzą, kiedy mieć będą pewność, że otrzymają, w stolicy kraju, własny uniwersytet. Na razie żądają, żeby stopniowo obsadzano im katedry na trzech fakultetach: prawnym, filozoficznym i teologicznym.

Prawdopodobnie sprawa ta pomyślnie zostanie rozstrzygnięta, czego należy bardzo życzyć. Spodziewane jest jeszcze w czerwcu odpowiednie rozporządzenie cesarskie.

Sprawa ta o tyle się posunęła, że nie natrafia już na nieprzejednany opór Polaków.

Widoczną jest teraz rzeczą, jak szkodliwa była polityka polska w tej sprawie w latach ubiegłych. Istotnie: ile by uniknięto niepotrzebnych starć między obu narodami; ileby oszczędzono sobie wzajemnych wyrzutów, obelg i napaści, gdyby reprezentacja polska od razu stanęła na tym stanowisku, na jakim dziś stoi pod wpływem obecnej sytuacji.

Niestety. Zamiast jasnego nieuprzedzonego poglądu, opartego na sprawiedliwości, wygłaszano zdania, nie liczące się z rzeczywistością, odmawiając Rusinom prawa do uniwersytetu, dowodzono, że nie mają kandydatów na profesorów i t. p

Dopiero trzeba było szeregu awantur na uniwersytecie i poza nim, groźb, trzeba było presji w Wiedniu ze strony rządu Bienertha, potrzebującego głosów rusińskich w parlamencie — aby Koło polskie, w zasadzie, zgodziło się na uniwersytet rusiński w Galicji,

A jednak o ilebyśmy lepiej wyglądali wobec Rusinów i Europy, gdybyśmy sami przed laty kilku zgodzili się na to, na co dziś zgodzić się musimy.

W ostatnich czasach zauważyć można ożywienie ruchu w dziedzinie popularyzacji wiedzy w masach.

We Lwowie przed kilku miesiącami wznowiono filję Uniwersytetu ludowego Im. Adama Mickiewicza.

Wykłady cieszyły się dużym powodzeniem i były przystosowane do poziomu słuchaczy. Partja socjal-demokratyczna rozwinęła też energiczną pracę oświatową, urządzając w rozmaitych miastach szereg systematycznych wykładów z dziedziny nauk społeczno-politycznych.

Ruch oświatowy wśród mas najpiękniej rozwija się jednak w Krakowie pod kierunkiem Uniwersytetu ludowego Im. Adama Mickiewicza.

O tej doniosłej instytucji napiszę obszernie w liście następnym.

Ludwik Kulczycki.

Dzień ubogich.

I.

Tow. Dobroczynności odwołuje się do serc i sumień mieszkańców Warszawy o datki na ratowanie nędzy. A nędza ta wyciąga do nas ręce na każdym zakręcie ulicy, modli się z pod kościołów, opatentowana tablicą z napisem przemawia wzrokiem często napół świadomym, bo przygasłym od cierpienia, W epoce, kiedy całą etykę sprowadzić byśmy chcieli do postulatów estetyki w pięknej, hulaszczej, strojnej Warszawie, co kilka kroków napotykamy to co jest najwyższą ohydą, upodlenie i żebractwo ludzkie.

Sądzę, że ludziom wrażliwym żebracy odjąć mogą wszelką ochotę spacerowania po ulicy. Czy możebnym jest jednak zakaz żebractwa u nas, przy tak wielkiej liczbie niezaopatrzonych potrzeb, przy tak skromnym zakresie pomocy, jaką ubogim niesiemy? Czy działalność samych stowarzyszeń bez współudziału rządu i miasta będzie kiedykolwiek w stanie zaopatrzyć wszystkich ubogich? Z góry bez specjalnych obliczeń i wykazów zaprzeczyć temu trzeba, a samorząd nasz nie zbliżać, ale oddalać się zdaje. Pozosta-

wieni jesteśmy własnym siłom i to nietylko w dziedzinie dobroczynności, ale i polityki społecznej. Zakresy to blizkie i wielekroć pokrewne opierają się przecież na odmiennych zasadach, inne kategorje ludzi interesują się każdym z nich i nie zawadzi, korzystając z chwili, w której uwaga publiczna zwróconą jest ku dziełom dobroczynności, zestawić na łamach *Prawdy* obie te sfery działania.

Nie było bodaj okresu w dziejach, w którymby świat chrześcjański nie zajmował się sprawą pomocy ubogim. Najlepszym tego dowodem fundacje, które od wieków średnich przetrwały niekiedy aż do czasów obecnych. Szpitale, przytułki dla starców, kalek, sierot zakładane w XV jeszcze stuleciu istnieją aż dotąd. Mamy nawet w kraju i mieście naszym tego rodzaju instytucje. [1]) Dobroczynność ściśle związana z kultem, kierowana przez duchowieństwo, stanowiła rację bytu większości zgromadzeń zakonnych. Do rąk duchowieństwa przelewano fundusze, przeznaczone dla ludzkości cierpiącej i dotąd jeszcze majątek kleru wzrasta w imię dobroczynności, znajduje się ona przedewszystkim w jego rękach, o ile nie zorganizowało jej państwo, czy samorządy miejskie.

Zasadniczym punktem wyjścia dla kwestji pomocy ubogim były nietyle względy na samą nędzę, co na dobro dusz tych, którzy od niej ratowali. Grzesznicy okupywali chwile wyuzdania i rozpusty przez datki na ubogich. Czyż i teraz nie nasuwa się przypuszczenie podobnych pobudek, gdy miljarderowie amerykańscy, którzy przy zarabianiu miljonów otarliby się nieraz o kryminał, gdyby miljarderami nie byli, fundują uniwersytety i humanitarne instytucje? Dusze pobożne, chcąc sobie zapewnić szczęśliwość w życiu przyszłym, składały daniny na rzecz tych potępieńców losu, którzy tej szczęśliwości nigdy w życiu doczesnym nie zaznali. Najczęściej zaś okruchy ze stołów i budżetów bogaczów dostawały się ubogim. Szafarzami darów i łask byli przeważnie księża, a kościół zapewniał sobie na tej drodze rządy dusz u góry i dołu.

Z chwilą, gdy dobroczynność przechodzi do zadań państwa, obok łaski i przejawów litości, pojawia się zasada bardziej racjonalistyczna: usuwanie ubóstwa, jako niebezpiecznego rozsadnika chorób i krzewiciela występków. Anglja już za czasów mądrej królowej Elżbiety wstępuje na drogę dobroczynności zorganizowanej przez rady parafjalne. Każdy obywatel, o ile nie był wpisany na listę ubogich, składać musiał podatek na ich zaopatrzenie. A były egzystencje, stojące tak blizko granicy ubóstwa, że zdarzały się wypadki, iż nakaz zapłacenia dwuch shillingów na cel podatku niewypełniony, przechylał szalę. Obywatel, od którego wczoraj nie dało się wyegzekwować podatku na ubogich znaleźć się mógł jutro na ich liście.

Państwo, organizacja władcza i surowa, otacza domy ubogich ostrymi przepisami, odbiera prawa obywatelskie wspomaganym, ogranicza do minimum t. zw. pomoc otwartą, t. j. udzielaną ubogim po domach, zmuszając całe rodziny do zamieszkiwania workhouse'ów. Pomimo to zarzucają mu zbytnią rozrzutność i hodowanie pasożytnictwa. Malthus i jego szkoła wytaczają wielkie działa zarzutów twierdząc, że liczba ubogich wzrasta w stosunku do zapewnionego im wsparcia, że nieprzezorność popieraną jest przez prawo, że rozradza się nadmiernie ludność uboga i fizycznie niższorzędna, a słabną siły ekonomiczne wytwórczej warstwy społeczeństwa. Kwestja ubogich pod koniec XVIII i na początku XIX wieku wysuwa się na plan pierwszy, roznamiętnia umysły, staje się pobudką do sformułowania sławnej teorji ludności Maltusa. Cóż dziwnego? Wszak pod nazwę ubogich, paupers, podciągano całą klasę robotniczą.

Dziś zmieniły się poglądy: olbrzymią kategorją tych, którzy pracy znaleźć nie mogą, choć chcą i umieją pracować, bezrobotnych, zajmuje się polityka socjalna. Sprawa ubezpieczenia, czy zapomóg na wypadek niezawinionego bezrobocia udaje się tylko tam, gdzie zostanie ściśle wyodrębnioną od dobroczynności, ujętą w system współmierny i równoległy z rozwojem stowarzyszeń zawodowych. Polityka taryf, płac zarobkowych i umowy zbiorowej, prowadzona przez stowarzyszenia zawodowe przeciwdziała obniżaniu płac, uniemożliwia wielekroć prowadzenie przedsiębiorstw, które stoją na wyzysku pracy. Wszędzie jednak, nawet wśród przemysłowych stosunków Anglji, znaczna część robotników pracuje w warunkach, które ich skazują na korzystanie z zapomóg dobroczynnych. Świadczą o tym obserwacje Webbów, zebrane w dziele o Teorji i praktyce Trade-Unionów. A cóż mówić o naszych stosunkach, wśród których płace 30 czy 40 kop. dziennie nie są rzadkością. Co powiedzieć o Galicji, gdzie ludność robotnicza wielekroć nie chce zamienić dochodów, płynących z zapomóg różnostronnych na sposobność stałego dochodu i pracy, który im nie wyrównywa?

Czy dobroczynność ma jednak zadanie dopłacania tam, gdzie niezasobny, czy wyzyskujący przedsiębiorca wyznacza robotnikom głodowe płace?

Zaiste nie, i jednym z najskuteczniejszych sposobów zmniejszenia liczby ubogich, a zatym obniżenia ciężarów, spadających na dobroczynność jest domaganie się podwyżki płac zarobkowych i organizacji pracy. Dostarczanie pracy przez organizację jej pośrednictwa, zetknięcie podaży i popytu na pracę, to drugi sposób skuteczny zmniejszenia liczby bezrobotnych, a zatym ubogich, potrzebujących wspomożenia. Czy jednak instytucje polityki społecznej, czy też filantropja dostarcza pracy, musi to być praca celowa i użyteczna, każda inna wywołuje niesmak i bunt rozumnej ludzkiej istoty. Praca ta musi również być wynagradzaną według cen rynku, bo inaczej zgubną czyni konkurencję innym pracownikom.

Za właściwą kategorję ubogich, którzy przez filantropję wspomagani być powinni, uchodzą dziś ci, którym brak sił do pracy. Czy jednak dobroczynność myśleć ma o wychowaniu sierot, czy niezaopatrzonych dzieci, które narówni z innymi mają być przyszłością społeczeństwa? Wychowanie ich to obowiązek narodowy, najpierwszy i najważniejszy, praca dla jutra. Obowiązkiem również społeczeństwa jest zaopatrzenie starców, inwalidów pracy, a wyrazem tego pojmowania sprawy staje się kierunek ubezpieczeń współczesnych. Na tej samej zasadzie obowiązku wobec istot, które żyją, a zatym mają prawo do życia, oprzeć się mogą instytucje dla kalek, chorych chronicznych, idjotów, niedorozwiniętych i t. p.

Tylko, że ostatnia kategorja, u której każda ułomność pojawiać się może w różnym stopniu, muszą specjalnej podlegać opiece. Do wypełnionego obowiązku przybywa przeto konieczność dobroci, tkliwości, serdeczności, które jedynie ulżyć mogą cierpieniom.

Czy jednak polityka społeczna, w której współdziałać mogą obok państwa, ciał samorządnych, stowarzyszeń także i jednostki, wyklucza znaczenie tych pięknych właściwości duszy? Inicjatywa zawsze od jednostek wychodzić musi. W pracach humanitarnych jest nie inaczej. Polityki społecznej równie dobrze, jak dobroczynności bez współdziałania jednostek pomyśleć nie można.

A zatym dla akcji dobroczynnej zacieśniają się stale granice, choć nie ubywa jej sposobności do działania. Z cywilizacją rośnie i rosnąć musi skala nasze-

---

[1]) Wydana świeżo książka p. Z. Grotowskiego „Rozwój zakładów dobroczynnych w Warszawie", wspomina np. o domu starców i kalek w Chęcinach, założonym w 1425 r., który istnieje aż dotąd. Warszawskie Schronienie N. Marji Panny i św. Ducha dla starców płci obojej istnieje od XIV stulecia. Ochrony i żłobki dla małych dzieci znane były w Warszawie już w XVI wieku, zakładane przez bractwo św. Benona i t. d.

go współczucia, pogłębia się zdolność odczuwania krzywdy. Czy pomyślała najlitościwsza bodaj dusza przed paru dziesiątkami lat, że nędzarze mają i mieć powinni zamiłowanie piękna i przyrody? A przecież i oni bardziej, niż uprzywilejowani tego świata tęsknią za szerokim kręgiem horyzontu, kochają kwiaty, cieszą się wiejską swobodą. I oto istnieją już w Anglji i w Belgji stowarzyszenia kobiece, które ozdabianie mieszkań najuboższych warstw ludności wzięły sobie za cel. Organizowanie wycieczek zamiejskich dla najuboższej dziatwy, rozdawanie jej zagonków i roślin, które na nich sadzić mogą, praktykuje się i u nas w Warszawie.

Dobroczynność przobraża się w politykę społeczną i ta z kolei dopełnianą jest przez usługi umysłów czujnych na potrzeby bliźnich i serc tkliwych na każdy spazm niedoli. Nie jest to gra o wyrazy. Nie, bynajmniej. Chodzi raczej o zwycięztwo nowoczesnej zasady *obowiązku społecznego.* Ona to, obok zasady sprawiedliwości i społecznej higjeny stanowi podstawę moralną wszelkiej polityki społecznej, która jest nowoczesnym sposobem opieki nad ludnością potrzebującą.

Polityka społeczna ogarniając coraz to nowe terytorja życia, dąży do zastąpienia dawnych systemów filantropji. Idzie to tak daleko, że całe szkoły ekonomistów i polityków społecznych przestały się zajmować kwestją ubogich. Olbrzymi podręcznik Schmollera np. pomija ją zupełnie, praktyczny umysł słynnego angielskiego ekonomisty Marshalla nie znalazł miejsca na dobroczynność w swoim dwutomowym systemie ekonomji.

Jedynie szkoła solidaryzmu, wychodząc z przesłanek etycznych, a zatym biorąc pod uwagę stosunek wzajemnych uczuć ludzkich przyznaje miłosierdziu i systemowi dobroczynności trwałe znaczenie. Nawet robiąc pewne ustępstwa względom na stosunki, oparte w dziedzinie ekonomicznej na uczuciach altruizmu, uznać trzeba wyższość zasady obowiązku społecznego, a zatym polityki socjalnej.

Społeczeństwo skazane na samopomoc w obu dziedzinach musi to sobie przedewszystkim powiedzieć i z tego punktu widzenia rozpatrywać znaczenie swych instytucji dobroczynnych.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

NA DOBIE.

Z wystawy wyrobów pracy kobiet.

Polskie chabry obok Japonek, z których każda z wdziękiem schyla główkę nad robotą, oto afisz zapowiadający charakter wystawy. Wchodzę przeto do sali na Dynasach, szukając przedewszystkim precyzji i artyzmu, do jakich przyzwyczaili nas japończycy, przeszczepionych na grunt swojski.

Niestety swojskość przeważa. Wystawa nie przedstawia całości pracy kobiecej, trudno w niej dostrzedz plan i myśl przewodnią. Są piękne okazy pojedyńcze np. prześliczne szale (malowany i haftowany) crepe de Chine sióstr Wierusz Kowalskich, lub koronki irlandzkie Zofji Gwiazda. Wystawy przedsiębiorstw konfekcji damskiej, gorsetów, dżetów, kwiatów przedstawiają się bardzo pokaźnie, zresztą wystawiły je firmy renemowane i pierwszorzędne. Mielibyśmy przecież całkiem mylne pojęcie o pracy wytwórczej kobiet w Warszawie, gdybyśmy o niej podług wystawowych firm sądzili. Na Dynasach znalazł się zaledwie ułamek tego, co dziś kobiety wytwarzają i dla tego możemy sądzić tylko o wystawczyniach, a nie jesteśmy w stanie wytworzyć sobie pojęcia czym są kobiety w wytwórczości naszej.

Zresztą winić nie można wystawczyń o to czego na wystawie brak, ale ogółowi kobiet uczynić należy zarzut, że nie odczuły obowiązku solidarności niewieściej i nie pospieszyły tłumnie na wezwanie Warszawskiej kasy pożyczkowo-oszczędnościowej dla kobiet pracujących.

A'kasa jest przecież instytucją popularną, gdyż jakkolwiek istnieje dopiero od 1902 r. liczy 700 do 800 uczestniczek. Liczba to niewielka wobec naszej kobiecej ludności pracującej, której rzetelne oddać by mogła usługi. Za drobną wkładkę 35 kop. miesięcznie. z których 20 liczy się na oszczędność, umożliwia kobietom pracującym poradę lekarską, wyjazd na kolonje letnie pożyczki 6-procentowe i wsparcia. W sklepie własnym sprzedaje wyroby uczestniczek. Na wystawie urządzono również sklep zbiorowy: pończoch, gobelinów, kwiatów sztucznych, bielizny, haftów, mebli wypalanych i t. p., i podobno wyroby te sprzedają się za znaczne sumy kilkuset rubli dziennie.

Jeżeli wystawczyń pojedyńczych jest niewiele, to na uwagę zasługują wystawy instytucji. Wyroby szkół i pracowni artystyczno rękodzielniczych pań Korycińskiej i Strońskiej noszą cechy. elegancji i gustu paryskiego. Bielizna z Zakładu św. Marty poszyta jest dokładnie, a ceny bardzo umiarkowane. Hafty i koronki z ochron zasługują tymbardziej na uznanie, że np. uczennice ochrony izraelickiej zajmują się ręcznymi robotami tylko dwie godziny dziennie. Tow. popierania przemysłu ludowego wystawiło koronki, plecionki i kapelusze ze słomy oraz ręczne guziki. Ostatnie zwłaszcza zasługują na uwagę.

Guzikarstwo uchodziło w latach ostatnich za przemysł, przystosowany do warunków życia włościanek. To też od podgórskich okolic Galicji aż po Litwę ziemianki o dobrych sercach, ale bez znajomości warunków handlu, rozpowszechniały guzikarstwo. Guziki ręczne są trwałe i ładne, ale osiągany na tej drodze zarobek dochodzi zaledwie do 20 lub 40 rb. rocznie. To też słusznie zauważyła wystawczyni p. Marja Wydżga, że guzikarstwo traktować można jedynie. jako zarobek dodatkowy i to, o ile się zorganizuje zbyt guzików. Nowe i piękne wzory obmyślone przez p. W. powinny w tym odpomódz.

Bardzo interesującą jest wystawa Żydowskiego Tow. Ochrony kobiet, tak jak i towarzystwo to korzystnie się wyróżnia wśród instytucji opiekujących się upadłymi kobietami. Na pierwszym miejscu bowiem Ż. T. O. postawiło dążność zapobiegania rozpuście. Biuro pośrednictwa pracy dostarcza paruset posad rocznie, t. z. Ognisko daje schronienie i naukę zawodową młodym dziewczętom, które przybywają z prowincji dla szukania zarobku. Tania kuchnia wydaje 15-kopiejkowe obiady samotnym pracownicom. „Opieka" dostarcza im rad i wskazówek, a co najważniejsza ratuje ofiary handlu dziewczętami. Przytułek dla prostytutek, które same się doń zgłoszą, chcąc zacząć inne życie, połączony jest z pracownią bieliźniarską i krawiecką. Wyroby tej pracowni starannie i porządnie odszyte znajdują na wystawie dużo odbiorczyn. Połowa dochodu idzie dla wykonawczyń, które wchodząc w nowe życie odrazu otrzymują fach i możność zarobku. O ileż droga ta pewniejszą jest od upokorzeń i nauk moralnych, którymi kobiety upadłe nawracane są wielekroć bezskutecznie w zakładach katolickich.

Ozdobą wystawy są porozwieszane na ścianach kilimy. Warsztat kilimczarski, przy którym pracuje młoda dziewczyna, gromadzi publiczność. Na wystawie krajowej w Częstochowie robota szła przecież raźniej, bo warsztatów było kilka i różnorodne. Panie nasze postarać by się powinny o ożywienie wystawy znaczniejszą liczbą robotnic przy pracy, brak np. koronczarek, jest tylko jeden warsztat tkacki, nie-

ma prząśniczki, a rozejrzawszy się po wsi, już choćby z Kruszynka zaprosić by można pracownice, które tam wyrabiają samodziały na własne mundurki. Niema również produktów gospodarstwa wiejskiego, przerobów owocowych mięsnych, czy warzywnych, a przecież to jedna z ważniejszych gałęzi kobiecej pracy. Jeżeli wychowanki Kruszynka i Gołotczyzny się nie stawiły, to może względy polityki i przekonań. Czemu jednak brak również Ziemianek.

Wystawa tak czysto miejska nie usprawiedliwia bławatków z afisza! *z.*

Francja w niełasce.

Narodowa Demokracja lubi mówić o sobie, że wogóle przeciwko postępowi „nic nie ma", że i owszem, szanuje go i poważa, byle tylko pozostał poza granicami Polski... Ale intymne, żywiołowe kołtuństwo rządzącego w kraju stronnictwa łatwo można zdemaskować, badając pogląd jego matadorów na współczesną Francję. Są oni do tego stopnia przejęci niechęcią, więcej: nienawiścią do Rzeczypospolitej wolnomyślnej i radykalnej, że nieraz plotą na temat stosunków francuskich duby smalone, jakich powstydziłoby się przyzwoite prowincjonalne pismo.

Ostatnio *Gazeta Warszawska* uraczyła swych czytelników korespondencją z Paryża, w której mieści się taki ustęp:

> Ideologja radykałów francuskich przypomina bardzo sposób myślenia naszej postępowej demokracji, stronnictwo radykalne jest stronnictwem nawskroś „mieszczańskim", a główną jego właściwością jest obawa przed socjalistami. Właściwie strach przed utratą swego stanowiska z chwilą. zwycięztwa proletarjatu, jest głównym, aczkolwiek nieświadomym często momentem w psychologji radykalnej, czy, jak się u nas mówi, „postępowej".
>
> Radykał francuski, podobnie jak nasz „postępowiec", uważa się za bardzo zbliżonego pod względem idejowym do socjalistów, niema między tymi dwoma sposobami myślenia politycznego różnic jakościowych, są tylko różnice ilościowe. Prawowierny radykał jest tylko bardziej umiarkowanym socjalistą.

Trzeba mieć sporą wprawę i typowe dla N.-D-eji zamiłowanie do żonglerki słownej, aby jednym tchem wymówić tyle mętnych i sprzecznych banialuków. W rezultacie czytelnik wie tylko, że Francja znajduje się w niełasce u naszych nacjonalistów, ale, żeby go zabito, nie powie, czy radykalizm jest kierunkiem „wybitnie mieszczańskim", którego główną właściwością jest obawa przed socjalistami, czy też, przeciwnie, prawowierny radykał jest tylko „umiarkowanym socjalistą" i „niema wogóle między tymi dwoma sposobami myślenia politycznego różnic jakościowych, są tylko różnice ilościowe"...

Wtrącając biednych czytelników *Gazety* w srogą rozterkę co do głównych właściwości radykalizmu, autor korospondencji rozcina węzeł gordyjski mieczem frazesu z arsenału bulwarowych wstecznych świstków i organów zakrystji:

> Realnie rzeczy biorąc, ta cała gospodarka radykalna we Francji przygotowuje grunt dla działalności socjalistycznej. Wszak rządy radykalne podkopały znaczenie władzy państwowej, zdezorganizowały armię, rozbroiły marynarkę, podjęły walkę z Kościołem i t. d.
>
> Z dojściem do władzy stronnictwa radykalnego, zaginęło wśród politycznych kierowników Francji poczucie praw, rządzących życiem zbiorowym, zanikło zrozumienie tego, czym jest władza państwowa.

Dziwić się tylko trzeba, że mimo tylu bezeceństw, zdrożności, podkopań, dezorganizacji, rozbrojeń etc. współczesna Francja stoi wysoko pod względem militarnym, a na polu gospodarki i kultury wykazuje świetny rozkwit, czego nie można powiedzieć o leżącej o miedzę bogobojnej Hiszpanji, która zmurszała i zgniła do cna przy dźwięku dzwonów klasztornych i modlitewnych pień...

A teraz zapytać się godzi, co by wybrała N.-D-cja, jako wzór dla kraju, gdyby stawiono ją przed radykalną Francją i katolicką Hiszpanją i powiedziano: *wybieraj!*

L. G.

Jeszcze krok.

Przebyliśmy właśnie okres wyborów, odbywanych co dwa lata do władz towarzystwa kredytowego ziemskiego, z pośród tabularnych właścicieli ziemskich. Nie tak to jeszcze dawne czasy, gdy wybory były ważną i oczekiwaną gorączkowo ogólno krajową uroczystością. Wybrany pan radca był na wszystkich ustach, jako mąż opatrznościowy, symbol cnót i zasług obywatelskich i powoływany też był w rzeczywistości często jako zaufana osobistość do funkcji wcale nie licujących z jego mandatem do kredytowej instytucji. Wszystko to było wynikiem zacieśnienia życia narodowego do prywatnych ściśle granic i nie dawania ujścia społecznym jego aspiracjom, które więc majac jedyną sposobność rządzenia się tutaj autonomicznie ujawniły hyperprodukcję w tym kierunku, co samej instytucji często na niekorzyść wychodziło.

Obecnie kiedy społeczeństwo nasze otrzymało względną możność stowarzyszania się — i ujawniania swych dążności w różnych kierunkach, mandat radcy zacieśnił się do jego specjalnego zadania i wybory nie budzą większego zainteresowania.

W tym roku jednak wyjątkowo odbywały się one pod bardzo interesującym hasłem, które, zwłaszcza wobec nagłego spadku cen zboża, żywo zainteresowało przedstawicieli większej własności. Chodziło bowiem o powiększenie pożyczek o 40 proc. powyżej obecnej normy obciążającej dobra, do połowy wartości, wedle taksy towarzystwa.

Nie łatwa to jednak sprawa wobec trudności sfinansowania nowej serji listów zastawnych na naszym drogim rynku pieniężnym. Specjalny więc delegat badał teren bankowy paryzki, gdzie łatwiej umieścić nizko procentujący papier, zwłaszcza, że Francuzi łakomi są na wszystkie „ruskie" walory. Ale tutaj znów stoi na przeszkodzie żarłoczność pośredników, zbałamuconych przez rząd rosyjski wysoką prowizją. Trzeba około dziesięciu miljonów rubli w listach, aby odrazu rzucić je na rynek i opłacić mniej za pośrednictwo.

Bądź co bądź, prędzej czy później znów postąpimy o krok dalej w obdłużeniu własności naszej, dążąc do tej normy, do jakiej doszli poznańczycy, gdzie przechodzi ona na włóce w landszafcie pięć tysięcy rubli; właściciel tam jedzie ciągle wyciągniętego kłusa i łatwo z siodła wylatuje. My, o ile użyjemy pożyczki nowej na korzystne meljoracje, lub opłacenie wyżej oprocentowanych zobowiązań — możemy liczyć na jej dodatnie skutki. Jeżeli jednak użyjemy jej na nieprodukcyjne wydatki — albo co się zdarza często lekkomyślnie ją przeżyjemy — zwiększymy szanse wyzbycia się ziemi przez klasy obecnie ją posiadające i znów krok dalej posuną się szanse przejścia jej w demokratyczne włościańskie ręce.

Agricola.

BADANIA NAUKOWE.

Antoni Menger: **Prawo do całkowitego wytworu pracy**. Z 3-go wyd. niem. tłum. J. H. pod redakcją K. Lutostańskiego, z przedmową d-r Zofji Daszyńskiej-Golińskiej. Warszawa 1909 (cena 75 kop.)

Wymieniona w nagłówku książka jest jedną z niewielu, jeśli nie jedyną pracą niemiecką o socjalizmie, która w równej mierze pouczającą i interesującą dla każdego inteligientnego czytelnika niefachowego, jak nieodzowną poprostu dla społecznika, publicysty i prawnika zawodowego okazać się musi. Ukazujące się więc polskie jej wydanie wypełnia poważną lukę w piśmiennictwie naszym, która w dyskusjach publicznych na temat socjalizmu na każdym niemal kroku odczuć się dawała. Toć nawet i w Niemczech, Francji i Anglji badania Mengera epokowym były zjawiskiem w powodzi pism, na tematy pokrewne ogłaszanych. Nikt bowiem z Niemców nie miał lepszych od Mengera kwalifikacji do ujęcia nieprzebranych skarbów literatury socjalistycznej, nagromadzonych przez niego podczas całego niemal życia w księgozbiorze własnym, w tak szczupłe ramki przejrzystej i głębokiej zarazem syntezy.

Łącząc w jasnym swym umyśle, na badaniach czysto prawniczych wyszkolonym, łatwość francuską formy z iście niemiecką gruntownością w poznawaniu i wyszukiwaniu źródeł, stworzył Menger w tym tomiku o jedenastu arkuszach druku arcydzieło popularyzacji i prawdziwej uczoności zarazem. Tekst książki tej czyta się jednym tchem jak powieść, do cytat zaś wciąż się powraca, gdyż są one nie tym przebrzydłym balastem „uczonych" elaboratów niemieckich, oszałamiających czytelnika masą niepotrzebnych i często przepisanych lub kradzionych (jak u Roschera) cytat, lecz skarbnicą białych kruków, przez Mengera z pyłu archiwów i bibljotek na światło dzienne wydobytych.

* * *

Najoryginalniejszą stroną studjum Mengera jest rozpatrywanie teorji socjalnych pod kątem widzenia prawnika, ujmującego wszystko w karby ścisłych definicji. Chce on „wyłuskać idee socjalistyczne z nieskończonych rozpraw społecznych i filantropijnych, które składają się na główną treść literatury socjalistycznej", ażeby utorować tym ideom drogę do umysłów praktycznych mężów stanu i prawodawców. Jak słusznie zauważyła w przedmowie p. D-r Daszyńska-Golińska, zamierzenie Mengera w części się powiodło, gdyż prawne wywody jego niemały wywarły wpływ na prace prawodawcze Niemiec i Austrji.

W samej rzeczy socjalistyczna krytyka obecnego ustroju ekonomicznego prowadzi niechybnie do tego szeregu postulatów, zmierzających do zasadniczego przekształcenia całego systematu prawa — w pierwszej zaś linji prawa majątkowego (rzeczowego, zobowiązaniowego i spadkowego). Postulaty te dają się, zdaniem Mengera, sformułować, na podobieństwo owych zasadniczych haseł ruchów politycznych XVII i XVIII stuleci, wypisanych na sztandarach rewolucji, jako trzy następujące prawa ekonomiczne: a) prawo do całkowitego wytworu pracy, b) prawo do egzystencji i c) prawo do pracy. Coprawda prawo do pracy jest tylko pewną modyfikacją ogólniejszego prawa do egzystencji, ale jako forma przejściowa do ustroju nowego, proklamowana niejednokrotnie przez prawodawców 19 wieku, [1]) zasługuje ze względów historycznych na wyodrębnienie.

Prawo do całkowitego wytworu pracy jest może najbardziej socjalistycznym postulatem, gdyż najjaskrawiej wyraża egoizm klasy, o lepsze jutro *dla siebie* walczącej. Bo zapewniając każdemu tylko całkowity plon własnej jego pracy usuwa ono *in abstracto* możliwość jakiegokolwiek dochodu bez pracy, nie wyłączając nawet tych jego form, które niewątpliwie w każdym ustroju istnieć by musiały, a mianowicie potrzebnych do zapewnienia egzystencji niezdolnym do pracy osobnikom (dzieci, starcy, ułomni i t. p.). W tej absolutnej zatym formie prawo do całkowitego wytworu pracy wcielałoby egoizm klasowy stokroć bezwzględniej, niż nawet obecny ustrój kapitalistyczny z jego niesprawiedliwym podziałem dóbr.

Ale i drugie prawo ekonomiczne Mengera—prawo do egzystencji nie może być, zdaniem autora, przyjętym za zasadę podziału dóbr bez zastrzeżeń na rzecz prawa do całkowitego wytworu pracy. Wychodząc bowiem z założenia, że każda istota ludzka ma prawo przyrodzone do bytu, nie możemy posuwać się w możliwie pełnym zaspokajaniu potrzeb każdego osobnika do uznawania ich wszystkich bez względu na ilość pracy, w wytwarzanie dóbr przez niego włożonej.

Dlatego też większość systematów socjalistycznych stara się oba te prawa ekonomiczne pogodzić, ażeby tych sprzeczności uniknąć, jakie z konieczności by się nastręczyły, gdyby jedno z nich w całej jego czystości zrealizować chciano. Przeglądowi różnych rozwiązań, jakie literatura socjalistyczna w tej mierze wydała, poświęca Menger drugą, najobszerniejszą i najcenniejszą część swojej książki. O streszczaniu tej części na tym miejscu oczywiście nie może być mowy; podam więc tylko pokrótce niektóre z ważniejszych jego wywodów, zwłaszcza zaś te, które wymagają oświetlenia krytycznego.

* * *

Najwcześniej stosunkowo zajęła się zagadnieniem własności prywatnej filozofja prawa. Już Hugo, a po nim Fichte potępili obecny ustrój ekonomiczny; pierwszy z nich zadowolnił się tą negacją, Fichte zaś przemawiał za urzeczywistnieniem przez państwo prawa do egzystencji, nie znosząc jednak w projektowanym przezeń nowym ustroju własności prywatnej. Jest to więc, według Mengera, rażąca niekonsekwencja, która uniemożliwia urzeczywistnienie planów Fichtego. Jeszcze ostrzejszy sąd wydaje Menger o dzisiejszej „burżuazyjnej" filozofji prawa, która jego zdaniem jest „jedynie odbiciem historycznie przekazanego porządku prawnego", a nie jego krytyką z wyższego punktu widzenia.

Wyraźnie kwestję prawa do całkowitego wytworu pracy stawiają dopiero przedstawiciele angielskiego socjalizmu z Godwinem, Hallem i Thompsonem na czele. Godwin daje jednak przewagę w swym systemacie prawu do egzystencji nad prawem do całkowitego wytworu pracy, gubiąc się przy konkretnym przedstawieniu projektów urzeczywistnienia tamtego prawa w chimerach anarchistycznych. Natomiast już Hall z całą stanowczością wypowiada się przeciw dochodowi bez pracy i proponuje cały szereg reform, mających walkę z rentą gruntową i zyskiem z kapitału na celu. I Thompson uważa ograniczenie dochodów robotnika do niezbędnych środków utrzymania, wskutek potrącania z plonu pracy jego całej reszty na rzecz właścicieli ziemi i kapitału, za krzyczącą niesprawiedliwość obecnego ustroju ekonomicznego; ale on nie posuwa się bynajmniej do zupełnego negowania tych potrąceń, chciałby je tylko zredukować do wysokości dochodu najlepiej płatnego robotnika. Broniąc bez-

[1]) Rząd prowizoryczny rzeczypospolitej francuskiej w d. 25 lutego 1848 r.; w Zgromadzeniu narodowym niemieckim we Frankfurcie nad Menem w r. 1848 Nauwerk i L. Simon i w d. 9 maja 1884 w parlamencie Rzeszy Niemieckiej Bismarck; por. u Mengera, l. c., str. 15 — 32 wydania polskiego.

względnie prawa do całkowitego wytworu pracy, Thompson pojmuje je w znaczeniu negatywnym, t. j. jako potępienia dochodu bez pracy; przy rozstrzyganiu zaś normy podziału dóbr przechyla się on ku prawu do egzystencji — t. j. ku podziałowi według potrzeb. W projektowanej przez Thompsona gminie socjalistycznej środki egzystencji byłyby dzielone według skali potrzeb indywidualnych, przyczym jednak dla każdego zdolnego do pracy członka gminy przeznaczona dla niego praca byłaby obowiązującą.

(d. n.) *D-r N. Pinkus.*

LITERATURA i SZTUKA.

Najnowsza beletrystyka.

Józef Weyssenhoff: **Unja**. (powieść litewska) str. 446. Warszawa 1910. Gebethner i Wolff. — *Eliza Orzeszkowa*: **Gloria victis**. (nowele z r. 1863). Str. 403. Wilno. 1910. Nakład Makowskiego. — *Ory Jelska*: **Hanka**. (powieść). Str. 282. Warszawa 1910. Nowości Literackie. — *Gabrjela Zapolska:* **Szaleństwo**. (powieść) Str. 394. Warszawa 1910. Gebethner i Wolff.

Dziwnym zbiegiem okoliczności mamy trzy tomy najnowszej beletrystyki, które równorzędnie mówią nam o Litwie, o dawnej wschodniej części w państwie polskim. P. Weyssenhoff starał się odtworzyć współczesną psychologję, jaka panuje obecnie dla polskości na kresach. Dał rozumie się, kilka doskonałych obrazów, uchwycił bowiem powierzchnię życia tych kresowych agrarjuszów. Weyssenhoff ten typ ludzi zna doskonale, mimowoli pokazuje nieraz, jak ci ludzie spóźniają się w swojej cywilizacji w stosunku do życia europejskiego. Te mimowolne zalety książki p. Weyssenhoffa są nieobliczalnie doniosłe. Przez pewien czas brano je za sardoniczny, pobłażliwy uśmiech, lecz od czasu sławnej kampanji przeciw Wyspiańskiemu. od czasu „Dni politycznych" zrozumiano nakoniec, że jest to tylko ni mniej ni więcej, jak credo p. Weyssenhoffa. P. Apolinary Budzisz w „Unji" znów zjawił się na arenie życia publicznego. Tym razem zamierza działać nie wśród swoich, lecz jedzie uświadamiać litewskich współbraci. Osoba tego poczciwego głuptasa jest przez p. Weyssenhoffa kreowana na syntezę narodowo-demokratycznych dążeń. Zdziwi się niepomiernie Dmowski lub Balicki, gdy zobaczą swoje fizjonomje w „Unji". Można się z tym kierunkiem nie zgadzać, lecz nie wolno drwić, skoro się go nie rozumie. Dmowski, Balicki, mimo wszystkie swoje wady, nie są tak poczciwie niemądrzy w swoim stosunku do świata, jak to się komuś wydawać może. P. Budzisz nad „Myślami współczesnego Polaka", lub nad „Etyką egoizmu narodowego" zapewne nigdy nie rozmyślał, czemuż więc bezmózgłość i tępość dawać tam, gdzie jest myśl, tylko że niewłaściwymi drogami idąca. P. Weyssenhoffowi potrzebien był Budzisz, by zrobić z niego powieściowy „klej". Na tle rozjazdów „ideowych" Budzisza dorabia p. W. do ogólnych założeń swoich symboliczny romans między Polską a Litwą. Polskę reprezentuje młody szlachcic — inżynier Kazimierz Rokszycki, Litwę, wdowa p. Chmarzyna. W jednej sytuacji Polska (p. Rokszycki) jest trochę nieprzyzwoita, ton jednak salonowego causera zwycięża i miast brutalnej sceny mamy opis o „cudnych trelach słowika i szemraniu wody".

Techniczna strona nie przedstawia żadnych artystycznych nowości. P. Weyssenhoff „zmajstrował" swoją „Unję" według ogólnie przyjętych recept powieściowych. Mamy tam sytuacje, które przeciętny czytelnik spotkał wiele razy w powieściach. Formą, plastyką nie wyróżnia się „Unja" od tysiąca innych. Treść zaś ideowa oparta jest na szlachetnej tendencji połączenia Polski z Litwą. Tendencja ta zasługuje na uwagę, gdyż jeszcze dla pokolenia z roku 1863-ego nie było co do tej materji pytania.

I właśnie oto Eliza Orzeszkowa daje nam w nowej swojej książce nowele — wspomnienia, narracje o roku 1863-im. Mamy przed sobą szereg scen, które mówią czytelnikowi, że jeżeli Traugutt dał gardło swoje, to tylko dlatego, bo czuł, że z Polską łączy go kilkaset lat radości i nieszczęść, kilkaset lat wspólnej pracy. Książka Orzeszkowej o Traugucie traktuje dość obszernie. Czyni to ją wielce pożądaną w piśmiennictwie obecnym. Podkreślić chcę to tymbardziej, gdyż, naprzykład, powieść p. Ory Jelskiej zdradza zupełną jałowość tych sfer litewskich, które jeszcze tak niedawno były nam tak użyteczne i oddane. Przy zupełnej obojętności środowiska tym dokładniej p. Jelska maluje nicość i zaprzaństwo swoich współziomków, że nie stać ją na tony modulacji, na tony nowych artystycznych słów. Szare dusze — przeraźliwie — szare stroniczki powieści. Kilka przedhistorycznych mamutów, kilku młodzieńców rozprawiających o socjalizmie metodą kuchenną — oto cała smutna zawartość powieści p. Jelskiej. Dramat Hanki jest tylko uzależnionym od tego środowiska, faktycznie więc nie istnieje, bo dróg do wyzwolin z takiego mułu tysiące. Minęły widać czasy, w które Polska z kresów otrzymywała najdzielniejsze jednostki. Już Litwę nie stać na środowisko z czasów Mickiewicza, na środowisko interesujące się nowymi prądami umysłowymi, Europą, lecz tylko piosenki małoruskie, wschodnie sentymenty i marzenia oplatają te dusze. A może tylko tak wyobrażają sobie i widzą Litwę autorzy — powieściopisarze p. Weyssenhoff i pani Jelska? Może tam jest jakiś ruch, który oprócz kruchty i „rodzinnych" cnót nosi w sercu tęsknotę do orlich wzlotów, do kulturalnych podbojów? Może?...

Pani Zapolska po doskonałej swojej „Frani Wątorek" (O czym się nie mówi...) obecnie dała słabą i excentryczą powieść „Szaleństwo". Jakimż dziwnie plastycznym, bogatym arcydziełem życia jest ta Frania przy niewiadomo jakiej p. Renie z obecnej powieści. Że typy takie mogą się zdarzyć — nie przeczę. Są one jednak interesujące z punktu widzenia psychjatrycznego, lecz nie psychologicznego, artystycznego.

E. Czekalski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Przeżywamy dziś okres pozornej jedynie stagnacji; pod grubą warstwą wymuszonego milczenia odbywa się szybkie różnicowanie pojęć, które sięga do samego dna samowiedzy społecznej, łamiąc i usuwając przegrody, wznoszone przed kilku laty ryczałtem, w pośpiechu, w czasie burzliwego naporu. Ta czynność zachodzi ze szczególną siłą w dziedzinie *polityki knlturalnej*, dotąd niesłusznie lekceważonej bądź w imię polityki państwowej (N.-D.), bądź też — ekonomiki społecznej, a dziś wysuwającej się na plan pierwszy.

Przed trzema laty jeszcze zaręczały organy Demokracji Narodowej, że u nas „bojujący katolicyzm" nie istnieje. Dziś muszą przed nim kapitulować na całej linji. W r. 1908 pisał p. Sadzewicz — publicysta *Przeglądu Narodowego*, że „nikt w kraju naszym nie chce szkół ściśle wyznaniowych". Dziś zabiera głos w tej

kwestji p. Miecznik, publicysta *Dziennika Powszechnego* i dochodzi do wręcz odmiennych wniosków:

U nas szkoła publiczna jest wyznaniowa, a przeciwko jej „laicyzacji“ będziemy wszelkimi uczciwymi sposobami walczyć. Te tam jakieś wstydzenia nas nietolerancją jakowąś od walki nas nie odstraszą.

W szkołach polskich winno być tylko wychowanie religijne — albowiem antyreligijne, lub areligijne wychowanie uważamy za szkodliwe i złe.

Dla ścisłości godzi się zaznaczyć, że rząd rosyjski dba w równej z p. Miecznikiem mierze o to, by w szkołach polskich wychowanie było religijne: odpowiednia ustawa określa obowiązkowy udział osób duchownych w każdym ciele pedagogicznym. Ale rządowa ustawa klerykałów naszych nie zadawala, to też gotują oni rodzaj rewolucyjnego na nią zamachu—w kierunku wstecznym oczywiście. Istotnie:

Obecnie prefektowi wyznacza się rola jednego z nauczycieli, który wykłada jeden z przedmiotów, objętych programem.

Tak przeważnie jest, ale tak być nie powinno.

Prefekt nie jest jednym tylko z wykładających dany określony przedmiot. Religji nie można w równej mierze traktować tak, jak się traktuje matematykę lub literaturę. Doszło np. do tego, że szkoła, założona i utrzymywana przez „Tow. Kultury Polskiej“ ma w programie swoim religję tylko dlatego, że w przeciwnym razie ze względu na Ustawę rządową istniećby nie mogła. Do tej szkoły zaprasza się prefekta dla pozoru...

P. Miecznik gorszy się nietylko zbytnią tolerancyjnością ustawy rządowej, ale nadto sami księża prefekci są zlań zbyt jakoś potulni i niewymagający. *Plus catholique que le Pape*, jest p. Miecznik gorliwszym sługą kościoła, niż przysięgli tegoż oficjanci, których też odpowiednio strofuje:

Jeżeli prefekci będą się zachowywali i nadal biernie, spadnie na nich „odium“ odpowiedzialności przed Bogiem i społeczeństwem za zło, będące bierności ich skutkiem. Oni powinni wywalczyć sobie należne ich powołaniu stanowisko w szkołach. Ci, z pośród nich, którzy tej walki o swoje prawa podejmować „dla świętego spokoju“ nie mają ochoty, dość silnych nerwów, dość zdrowia, niech ustąpią i idą na parafje. Różnych pracowników potrzeba w winnicy Pańskiej.

Społeczeństwo polskie w ogromnej większości swojej jest za wychowaniem religijnym, wyznaniowym, prefekci mogą być przeto pewni, że znajdą w swej energicznej akcji poparcie moralne onej ogromnej większości.

Niech korzystają z chwili, która dla nich właśnie teraz, po wytrzeźwieniu, po przebyciu wszelakich przez naród polski rozczarowań, jest wielce sprzyjająca. Niech nie czekają innej chwili, tej mianowicie, kiedy znowu opinję publiczną urabiać trzeba będzie w kierunku pożądanym.

Oto wyraźnie, gromko, zuchwale rzucone hasło *mobilizacji klerykalnej*, zwróconej przeciw kulturze narodowej świeckiej! Ślepy i głuchy dziś przyznać musi, że „bojujący Kościół“ istnieje, że po sformowaniu szyków, rusza na zachłanną wyprawę... Skończy się ona dla niego tak, jak się kończyła wszędzie na Zachodzie: *porażką*.

To też na miotania się i groźby pp. Miczników odpowiadamy spokojnie jednym wyrazem — nie tym, który rzucił jen. Cambronne pod Waterloo w twarz tryumfującym Anglikom — nie wyrazem desperacji, lecz wyrazem ufności: — *Spróbójcie!*

Ze swej strony stawimy opór zacięty zamierzonej uzurpacji szkoły polskiej, dla której ciężkie ofiary ponieśli wcale nie pp. Miecznicy i księże pupile, lecz właśnie patrjotyczna i postępowa część ogółu.

Jak mityczne Harpie plugawiły herosom greckim każdy kęs posiłku po krwawych mozołach zdobytego — podobnie i u nas, ilekroć wolnomyślna i wolnościowa Polska zdobędzie kęs kulturalnego dorobku — zlatuje się obrzydliwe czarne ptactwo, wypędzone precz z postępowego Zachodu, i plugawić naszą zdobycz usiłuje.

Ale do czasu... za świetnych swych czasów zwana „Francją Północy“ zbyt wiele ma w sobie Polska wolnościowej tradycji, zbyt wiele tężyzny życiowej, aby miała uledz biernie hiszpańsko-włoskiej pladze, na którą już i ludowi otwierają się oczy.

* Machina kościelna wprawiła w ruch intensywny wszystkie swe koła i trąby i skutkiem tego uroczystość koronacyjna w Częstochowie odbyła się przy bardzo licznym udziale ludu ze wszystkich stron kraju. Liczbę uczestników niektóre pisma podają na pół miljona. Z tego powodu woła urągliwie *Dziennik Powszechny*:

Niechże redakcje *Prawdy*, *Myśli Niepodległej*, *Społeczeństwa*, *Gazety Nowej* i t. d. spróbują zgromadzić choćby kilkadziesiąt tysięcy ludzi przed domem, w którym znajduje się lokal „Kultury Polskiej“ i kazać tym tysiącom wznosić entuzjastyczne okrzyki na cześć „Wolnej Myśli“.

Świętobliwy *Dziennik* wie doskonale, że redakcje pomienionych pism wpływem swym poza cienką warstwę oświeconej i kulturalnej opinji nie przekraczają i z natury rzeczy przekroczyć nie mogą.

Pod względem *ilości* prym dzierżą w naszym kraju ci, co bez skrupułów i bez sumienia wodzą za nos krocie tysięcy analfabetów i półciemnych kołtunów.

Wierzymy chętnie, że gdyby *Dziennikowi Powszechnemu* przyszło do głowy urządzić w swoim lokalu koronację np. *Sanctae Simplicitatis*, to ilościowy rozmiar tej sympatycznej fety zaćmiłby uroczystość Jasnogórską. Tylko, że na miejscu *Dziennika* mybyśmy *się tym nie chwalili*...

* W tańcu wojennym wokół Jasnej Góry uczestniczą wszystkie czarne bractwa; podniosła religijna uroczystość, na skinienie tonsurowanych polityków, zmienia się na zgiełkliwy partyjny kiermasz. Ten manewr wytknęła słusznie p. I. Moszczeńska w *Kurjerze* lubelskim, pisząc co następuje:

Zgóry przepowiadały niektóre pisma postępowe, że taki będzie praktyczny użytek tajemniczego świętokradztwa. Zrazu wydawało się to całkiem nieprawdopodobne, aby obóz klerykalny miał zaryzykować taką śmiałą próbę wzmocnienia swego wpływu z okazji wypadku, który go w wysokim stopniu kompromitował. Istotnie bowiem w szerokich masach ludu wieść o jasnogórskiej kradzieży wywołała odruch zgorszenia, niechęci i nieufności względem skarbników cudownego miejsca. Stało się przecież rzeczą oczywistą, że drogocenne dary i pamiątki składane na Jasnej Górze przez cały szereg nabożnych pokoleń, pozostają pod skandalicznie niedbałą strażą. Gdy prywatne kasy możnych tego świata, gdy mienie jednostek strzeżone bywa i bronione od uszczerbku nieraz z narażeniem życia, skarbiec, który ma już dziś historyczne znaczenie narodowego archiwum pamiątek,przybytek czczonych przez wielomiljonową ludność świętości, może być spokojnie, bez przeszkody rabowanym i okradanym tuż pod bokiem świętobliwych ojców, którzy mając wyłączną nad nim pieczę jako jedyny cel i zadanie życia, nie umieją nawet objaśnić ilości ani wartości skradzionych przedmiotów, chwiejąc się w określeniach między 6-ciu miljonami a 30 tysiącami rubli!

Z prasy zagranicznej.

* *Matin* zamieścił niedawno artykuł Kamila Pelletan'a, b. ministra marynarki, p. t. *Le nouveau bloc — les collectivistes alliés aux réactionnaires.* Kamil Pelletan obok Emila Combes'a i wbrew Jerzemu Clemenceau obstawał do ostatniej chwili za sojuszem ze skrajną lewicą, radząc nie zrażać się licznymi jej nietaktami i nieznośną arogancją. Radykał szczery, gorący ideolog postępu, Pelletan cieszy się sympatją i poważaniem w kołach robotniczych, bez względu na ich odcień frakcyjny. Tym bardziej godne są uwagi wyrazy zawodu i goryczy, rzucone w stronę „nieprzejednanych“ socjalistów przez tego starego szermierza. Oto co pisze Pelletan:

Cechą wyborów tegorocznych jest formacja nowego i zgoła szczególnego bloku: bloku *socjalistów zjednoczo-*

nych i reakcji klerykalnej... Co do mnie, byłem zawsze radykalistą, jednym z najbliższych czystemu socjalizmowi; przebiegałem wielekroć kraj, aby pozyskać dlań głosy radykalne, a kiedy, w celu zerwania związku, uważanego przeze mnie za konieczny, zarzucano socjalistom oddzielne nielojalne względem taktyki republikańskiej postępki — pracowałem ze wszystkich sił, aby zło naprawić. Ale tym razem nie o lokalne nieporozumienia chodzi: w czasie wyborów ścisłejszych, *stanął formalny pakt*, zupełnie otwarcie, na północy i na południu, na zachodzie i wschodzie. Wszystkie urzędowe organy Kościoła — *Croix* i *Semaines Religieuses* — notyfikowały go wiernym. To zespolenie potworne (*monstrueux accouplement*)... musi wywrzeć znaczny wpływ na politykę dnia jutrzejszego".

W dalszym ciągu uchyla Pelletan rąbek tajemnicy, okrywającej „świetny sukces" francuskiej skrajnej lewicy na wyborach obecnych:

„Należy stwierdzić, że to poparcie nie zawsze było bezinteresowne. *Do ut des. Przetarg odbył się prawie wszędzie kosztem szkoły świeckiej*". Okazuje się bowiem, że ze strony socjalistów obiecano klerykałom pewne ustępstwa w dziedzinie szkolnictwa w imię t. zw. „wolności sumienia i nauczania", co w jezyku zwykłym oznacza poprostu możność przeciwstawiania nauki religijnej nauce świeckiej. Ogółem, według obliczeń Pelletana, popartych druzgocącymi liczbami, na ogólną liczbę 20 zdobytych miejsc w Izbie, skrajna lewica zawdzięcza 17 poparciu klerykałów.

KRONIKA.

ZEBRANIE DOROCZNE WARSZAW. CHRZEŚCJAŃSKIEGO TOWARZYSTWA OCHRONY KOBIET przedstawiło obraz działalności swej siódmy już rok zastępującej, choć w części wprowadzone gdzieindziej państwowe w tym względzie urządzenia. Towarzystwo więc opiekuje się małoletnimi, dostarcza pracy i ochrania przyjezdne przed handlarzami żywym towarem, urządzając czasowe schroniska i stałe ogniska domowe dla bezdomnych pracownic. Zstępuje wreszcie na samo dno nędzy, i w wenerycznym szpitalu czuwa nad umoralnieniem upadłych kobiet i dzieci. Tutaj, niestety spotyka się ono z przeżytkowym policyjnym przepisem, który każe wydalać ze szpitala podleczone, lecz nie wyleczone jeszcze należycie prostytutki. Miejsca dla nich w przytułkach stale brak, a nikt prywatny ich nie przyjmie, powracają więc, nieraz mimowoli do poprzedniego zajęcia. P. Budny vice-prezes w gorących słowach zwrócił się do społeczeństwa i do prasy o poparcie usiłowań towarzystwa w tym względzie.

Poruszono też myśl połączenia działalności Tow. Ochrony z tow. emigracyjnym celem wspólnej opieki nad emigrantkami i wydawania wspólnego organu — oraz mówiono o zajęciu się zwalczaniem pornografji, pobudzającej rozwiązłość płci obu.

Z toku sprawozdania wykazało się że, pomimo udziału w pracy towarzystwa licznych zastępów zamożnego kleru — analogiczne towarzystwo, żydowskie okazało większą sprawność, gdyż dla wychodzących z wenerycznego szpitala żydówek utrzymuje ono schronisko „Przystań" pozwalające im doleczyć się należycie i namyśleć się nad dalszym życia kierunkiem.

ODDZIAŁ WARSZAWSKI IZBY HANDLOWEJ ROSYJSKO-ANGIELSKIEJ odbył pierwsze zebranie, na którym p. Z. Muśnicki objaśnił cele instytucji dążącej do zawiązania ściślejszych i bezpośrednich handlowych stosunków z Anglją, przedstawił plan przyszłej działalności obejmującej ustanowienie własnej reprezentacji w Petersburgu i zorganizowanie specjalnych komisji, prawnej, taryfowej finansowej i ekonomicznej. Wybrano jedenaście osób do komitetu zarządzającego i trzy do komisji rewizyjnej.

W zebraniu brali udział, konsul angielski p. Bayley i vice-konsul p. Kimens, którzy zapewnili swoje poparcie powstającej instytucji, która obiecuje nam choć częściowe omijanie niemieckiego pośrednictwa.

USTAWA O ZIEMSTWACH w t. zw. Kraju Zachodnim przeszła w Izbie 17 głosami większości, po zażartej walce, przyczym zarysowała się wyraźna presja rządu. Ustawa w imię nacjonalizmu zapewnia przedstawicielom ludności rosyjskiej przygniatającą przewagę nad żywiołem polskim.

ECHA POGRZEBU ORZESZKOWEJ. Gazety żydowskie wydrukowały list, przesłany do p. L. Joffe, a który brzmi, jak następuje: „Komitet pogrzebowy Elizy Orzeszkowej, zastanowiwszy się nad sprawą niewygłoszonej mowy pogrzebowej w imieniu grodzieńskiej gminy żydowskiej, żydowskiego Towarzystwa literackiego w Petersburgu i oddziału tego Towarzystwa w Grodnie — w języku hebrajskim, wyraża swój żal, że mowa, która wygłoszona została przez d-ra Szapiro na grobie Elizy Orzeszkowej, w imieniu wyżej wspomnianych organizacji żydowskich — w języku polskim, nie mogła być wygłoszona, podług życzenia przedstawicieli tych organizacji, także po hebrajsku, jedynie wskutek nieporozumień charakteru formalnego".

BIURO INFORMACYJNE ZWIĄZKU RÓWNOUPRAWNIENIA KOBIET POLSKICH przez czas swej działalności zapoznawszy się z trudnościami, jakie napotykają dziewczęta przy wstępie na uniwersytety oraz uświadomiwszy sobie ciężkie warunki, w których zdobywać muszą dyplomy, otwierające im wrota szkoły wyższej, postanowiło ułatwić im przygotowanie na maturę gimnazjum męskiego, i w tym celu przyjmuje zapisy do odpowiednich kompletów.

Bliższych informacji Biuro udziela we wtorki i piątki od godz. 7-ej do 8-ej wiecz. Adres: Nowy Świat 4.

MACIERZ POLSKA wydała jako 54 numer Bibljoteki książeczkę profesora D-ra Marcina Ernsta *O kometach i komecie Halleya.* Rzecz napisana bardzo przystępnie, niezmiernie zajmująco. Książeczkę zdobi szereg rycin, ilustrujących tekst.

Cena 30 hal.

BANK POCZAJOWSKI. *Goniec* donosi, że oprócz zakładanego przez działaczów chełmskich specjalnego banku Chełmskiego, powstaje w Chełmszczyźnie bank poczajowski. Bank wraz z oddziałem we Włodzimierzu Wołyńskim zakłada związek narodu rosyjskiego. Na kapitał zakładowy banku Poczajowskiego zebrano 25,351 rb., największą sumę, gdyż 20,000 rb., złożyły klasztory w gub. Wołyńskiej i Ławra Poczajowska. Projekt ustawy banku Chełmskiego został już opracowany, lecz brak funduszu na kapitał zakładowy; z tego powodu założyciele poczynili starania w Petersburgu o przyznanie na ten cel zasiłku z ministerjum skarbu. Zasiłek ma wynosić 20,000 rb.

BIBLJOTEKA POLSKA W SYMFEROPOLU nadsyła sprawozdanie cyfrowe z r. 1909 i pięciolecia 1905—1909, opatrzone bardzo staranną tablicą graficzną. Sprawozdanie wykazuje stały wzrost tej pożytecznej instytucji.

W KIJOWIE powstał projekt urządzenia *Wystawy Krajowej* w r. 1911. Będzie ona miała charakter ogólnopaństwowy, a nawet międzynarodowy, gdyż wystawcom zagranicznym przyznano prawo jak najszerszego udziału w niej.

OFIARY.

Na Szkołę w Kruszynku: Alfr. Krzyżanowski z Turyczan rb. 5. Bronisław Jabłkowski z Irkucka rb. 3.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.